

SELMA LAGERLÖF.



Gösta Berling

ze szwedzkiego przełożyła

JÓZEFA KLEMENSIEWICZOWA.

TOM III.

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.

1905

125661 / 3



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0251963

K-60/81 / 125662 P

PROBOSZCZ Z BROBY.

Erosie, ty przepotężny boże, nieraz zdaje się, jakoby człowiek jakiś zdołał się zupełnie wyzwolić z pod twojej władzy — wtedy wszystkie większe uczucia, łączące z sobą ludzi, są niby zamarłe. Ale niespodzianie zjawiasz się ty, wszechpotężny obrońco życia i uschłe serce zieleni się i pokrywa kwieciem, niby owa biblijna laska.

Niema człowieka marniejszego od proboszcza z Broby, niema istoty przez złość i okrucieństwo swoje bardziej od ludzi znienawidzonej. Izby jego przez całą zimę są nieopalone, on sam siaduje na nieheblowanej drewnianej ławce, ubiera się w łachmany, żyje suchym chlebem i w szal wpada, gdy nędzarz jaki przestąpi próg jego domu. Konie w stajni głodzi, a siano sprzedaje; krowy jego skubią suchą trawę przydrożną i mech ze ścian domu; z gościńca już słycać beczenie głodnych owiec. Chłopi rzucają mu strawę, której psy ich jeść nie chcą, i suknie, którymi żebrak pogardził.

On rękę wyciąga po jałmużnę, plecy zgina do podzięki. Zebrze u bogaczów, a pożyczca ubogim na lichwę. Gdy zobaczy sztukę monety, pali go żądza, póki nie znajdzie się w jego kieszeni. Biada temu, kto w terminie długu nie zwróci.

Ożenił się on późno, a lepiejby było, gdyby był wcale tego nie uczynił. Z przepracowania, trosk, umarła mu żona. Córka jego służyć musi u obcych ludzi. Starość przyszła na niego, ale nie przyniosła mu spokoju — obłęd chciwości go nie opuścił.

Pewnego pięknego dnia z początkiem sierpnia jechała pod górę Broby ciężka karetą, zaprzężoną w cztery konie. Jakaś niemłoda osoba, widocznie bardzo bogata, strojna, jedzie ze służbą i pokojową. Przybyła w odwiedzinę do proboszcza z Broby. Kochała go za swoich lat młodych. Kiedy był nauczycielem w domu jej rodziców, pokochali się, ale dumni hrabstwo rozerwali stosunek. Przybyła zobaczyć go jeszcze przed śmiercią. Nic jej życie już dać nie może, prócz widzenia się z ukochanym.

Drobna, delikatna, siedzi w powozie i marzy. Nie na nędzne probostwo jedzie, lecz do chłodnej, cienistej altanki, gdzie oczekuje na nią ukochany. Widzi go: młody jest, umie całować, umie kochać. Teraz, kiedy wie, że za chwilę go zobaczy, wylania się przed jej duszą obraz jego z nadzwyczajną wyrazistością. Jakież on piękny! Umie marzyć, płonąć całą istotę jej umie napęłnić ogniem zachwyty.

Ona zżółkła, zwiędła, postarzała się. Może jej wcale nie pozna, ma przecież sześćdziesiąt lat? Lecz jednak nie przybywa pokazać się, ale zobaczy

ujrzeć kochanka młodych lat, którego za czasów nie tknął, który jeszcze wciąż jest młody, piękny, silny.

Przybywa z tak dalekich stron, że nie słyszała nigdy opowiadań o proboszczu z Broby.

Karetą zbliża się do szczytu, z kądem już widać plebanię.

— Zlitujcie się — jęczy jakiś żebrak przy drodze — dajcie biednemu centusiał

Dama daje mu srebrną sztukę i pyta, czy plebania Broby jest niedaleko.

Dziad spojrzal na nią chytrym, byстрыm wzrokiem.

— Plebania, ot tam — wskazał na górę — ale proboszcza niema w domu, nikogo niema w domu.

Drobna, szczupła dama zda się bliska omdlenia. Cienista altanka znikła jej, kochanka niema. Jak mogła się spodziewać, że po czterdziestoletnim oczekiwaniu, znajdzie go na tem samym miejscu?

— Co panią sprowadza na plebanię?

Przyjechała odwiedzić proboszcza — znała go w dawnych czasach.

Czterdzieści lat i czterdzieści mil ich dzieliło. Za każdą ujechaną milą zrzucała z siebie rok ciężarów, trosk i wspomnień, tak, że teraz, gdy dotarła do plebanii, była znów dwudziestoletnią dziewczyną, nie znającą trosk, nie mającą wspomnień.

Żebrak stoi przed nią i patrzy, a w oczach mieni mu się, raz jest dwudziestoletnią, to znów sześćdziesięcioletnią.

— Proboszcz dziś po południu przyjedzie — odzywa się. — Najlepiej będzie pojechać do gościnnego

domu w Broby, a po południu znów przyjsć. Ręczę, że po południu proboszcz będzie w domu.

W chwilę później toczyła się ciężka karoca z młodą, bogatą damą w dół, do zajezdnego domu, żebrak zaś stał i patrzył za nią, drżąc na całym ciecie. Miałby ochotę uklęknąć i całować kół ślady.

Wyświeżony, ogolony, strojny w uśmiech z błyszczącymi sprzączkami, w jedwabnych pończochach, w żabocie i mankietach, stanął proboszcz z Broby przed żoną kapelana tegoż dnia w południe.

— Dama — slychać go było mówiącego — córa hrabiów, jakże pani może przypuszczać, że ja ją mogę u siebie przyjąć tak, jak teraz jest? U mnie podłogi są czarne, izby zupełnie puste, sufit zielony od pleśni i wilgoci. Pomóż mi, kochana pani! Proszę pomyśleć, że to przecie delikatna córa hrabiów!

— Nie może to ksiądz proboszcz kazać powiedzieć, że wyjechał?

— Droga pani, czterdzieści mil jechała, żeby się ze mną, biedakiem, zobaczyć. Ona nie wie, co się ze mną stało. Nie mogę jej nawet dać łóżka. Nie mam łóżek dla jej służby.

— No, to pozwól jej ksiądz odjechać.

— Dobra, kochana pani. Czy pani nie rozumie? Raczej dam wszystko, co posiadam, wszystko, com tak pracowicie, z takim trudem zbierał, niżbym miał pozwolić, aby odjechała, nie wstąpiwszy pod mój dach. Widziałem ją ostatni raz, gdy miała la dwadzieścia; od tego czasu upłynęło lat czterdzieści, proszę sobie wyobrazić, paui droga. Pomóż mi pani

przyjąć ją u siebie. Oto pieniądze, jeżeli trzeba, chociaż same pieniądze nie wystarczą, — O, Erosie, kobiety lubią cię! Dla ciebie chętniej zrobią sto kroków, niż jeden dla innego z bogów.

Na wikarówce opróżniono pokoje, kuchnię i śpizarnię. Na wikarówce naładowane wozy pojechały na plebanię. Gdy kapłan wrócił do domu, obszedł puste pokoje, zajrzał do kuchni, co slychać z obiadem, ale nie zastał nikogo. Niema obiadu, niema żony, ani dziewczek. Cóż na to powiedzieć? Eros tak chciał, Eros wszechpotężny.

Po południu wspina się znowu w górę Broby ciężka karetka. A szczupła pani siedzi w niej i rozmyśla, czy też nowe jakie nieszczęście nie spadnie, czy rzeczywiście za chwilę spotkać ją ma jedyna radość jej życia.

Karoca skręca pod plebanię, ale w bramie się zatrzymuje. Duży powóz jest za szeroki, a brama za wązka. Woźnica trzaska z biczem, konie ciągną, służący klnie, ale tylne koło karety ugrzęzło i nie może się ruszyć. Córa hrabiów nie może wejść w dom ukochanego.

Wtem zbliża się ktoś — to on! Wynosi ją z powozu i na rękach, które nic nie straciły na sile, zanosi do siebie, a tuli do piersi tak miękko i tkliwie, jak przed czterdziestu laty. Ona patrzy w parę oczu, które błyszczą zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy miały za sobą dopiero dwadzieścia pięć wiosen.

I zrywa się w niej burza uczuć, gorętszych niż kiedykolwiek. Przypomina sobie, że już raz niósł ją po stopniach, wiodących na taras. Ona, która myślała, że miłość jej żyła przez wszystkie te

lata, potrafiła jednak zapomnieć, co to za rozkosz znajdować się w tych silnych objęciach, patrząc w młode promienne oczy.

Nie widzi, że on jest stary. Widzi tylko oczy, te oczy!

Nie widzi czarnych podłóg, sufitów zielonych od wilgoci, widzi tylko jago promienne oczy. Proboszcz z Broby jest okazałym mężczyzną, a w tej chwili jest pięknym mężczyzną. Staje się pięknym, patrząc na nią. Słyszy jego głos, jego czysty, silny głos, brzmiący jednak niby pieszczota. Tak umie tylko do niej mówić. Na co mu meble z wikarówki do pustych pokojów? Na co mu przyjęcie i służba? Przybyła nie byłaby nawet zauważyła braku tego wszystkiego. Ona tylko słucha jego głosu i patrzy w jego oczy.

Nigdy, nigdy przedtem nie była tak szczęśliwą.

Jak pięknie się kłania! zgrabnie a z godnością, jakgdyby ona była księżną, a on jej wybranym. Rozmawiając z nią, używa dawnych, nie dzisiejszych zwrotów. A ona, szczęśliwa, uśmiecha się tylko.

Pod wieczór podał jej ramię i przechadzają się po starym, zapuszczonym ogrodzie. Ona nie dostrzega nic brzydkiego, zaniedbanego. Wybująe krzaki stają się w jej oczach przepiętym żywopłotem, chwast zdaje się jej być miękką, szmaragdową murawą, długie aleje użyczają im cienia, a w niszach z ciemnych liści połyskują białe posągi: młodość, wierność, nadzieja i miłość.

Wie, że był oceniony, ale nie myśli o tem.

Jakże mogłaby myśleć o czemś podobnem? Ona ma przecież lat dwadzieścia, a on dwadzieścia pięć. Z pewnością ma dwadzieścia pięć lat, jest młody, pelen siły. Czyż znajduje się rzeczywiście u skąpego proboszcza z Broby, on teraz uśmiechnięty, piękny młodzian? Chwilami zda mu się brzmieć w uszach jak gdyby zapowiedź ponurej przyszłości. Ale jęki biednych, kłątwy oszukanych, szydercze objawy wzgardy, obelgi, urąganie — wszystko to dla niego jeszcze nie istnieje. Serce jego płonie czystą, niewinną miłością. Ten dumny młodzieniec chyba nigdy nie potrafiłby tak kochać złą, aby w pogoni za niem czuł się po największym brudzie, aby zebrał o nie u przejeżdżających drogą, aby znosił upokorzenia, hańbę, zimno i głód! Czyżby on mógł dziecko swoje głodzić, żonę zamęczać dla marnych pieniędzy? To niemożliwe. Takim nie może być, — to dobry człowiek, jak inni, to nie potwór.

Kochanka jego lat młodzieńczych nie kroczy obok wzgardzonego łotra, niegodnego urzędu, który poważał się objąć. Nie, dziś wieczorom on nie jest proboszczem z Broby, ani nazajutrz! ani następnego dnia również nim nie jest.

Trzeciego dnia odjeżdża dama. Bramę tymczasem rozszerzono, karetą toczy się z góry tak szybko, jak tylko ciągnąć mogą konie, które sobie dobrze wypoczęły. Cóż za sen! Co za piękny sen! Ani jednej chmurki przez całe trzy dni.

Z uśmiechem wróciła hrabianka do swojego pałacu, do swoich wspomnień. Nigdy więcej nie słyszała jego nazwiska wymienionego, nigdy się nie

pytała o niego. Pragnęła tylko, aby póki żyje, raz jeszcze tylko ten sen jej się przyśnił.

Proboszcz z Broby tymczasem siedział u siebie samotny i płakał rozpaczliwie. Ona mu wróciła młodość. Czyż znowu się postarzeje? Jego zły duch czyż znowu powróci i uczyni go pogardzanym — pogardzanym, jak dotąd.

ŚWIĘCI Z GLINY.

Kościół w Svartsjö jest zewnątrz i wewnątrz biały; ściany są białe, kazalnica, ławki, pulpit, sklepienie, obramowanie okien, ołtarz, słowem, wszystko jest białe. W kościele w Svartsjö niema żadnych ozdób, żadnych obrazów, żadnych herbów. Nad ołtarzem jedynie umieszczono krzyż drewniany.

Dawniej było inaczej. Wtedy sklepienie było malowane, wtedy mnóstwo barwnych figur z kamienia i gliny zdobiło ten dom Boży.

Niegdyś, przed wielu, wielu laty, pewnego letniego dnia stał w Svartsjö jakiś artysta i przypatrywał się mknącym po niebie obłokom. Widział, jak białe, lśniące chmurki, które rankiem stały nisko na horyzoncie, później rosły, spiętrzały się wyżej, coraz wyżej, póki nie urosły w olbrzymy. Rozpostarły one żagle, niby okręty. Wzniosły sztandary, niby wojownicy. Wyruszały na podbój całego sklepienia. Wobec słońca, tego władcy wszechświa-

ta, ułożyły się jednak, przybierając wygląd zgoła niewinnych stworzeń.

Był tam naprzykład kamienny lew, który się zmienił w upudrowaną damę; był olbrzym o ramionach, któreby wszystko mogły zmiążdżyć, on udał zadumanego sfinksa; niektóre przybrały swą białą nagość w płaszcze złotem bramowane, inne przyprawiły barwiczką blade lica. Były tam równie i lasy. Były pałace i zamczyska z wysokimi wieżami. Białe chmury zawładnęły niebem. Zapęłniły całe błękitne sklepienie. Dosięgły słońca i zakryły je.

— Ach, jakież to piękne! — pomyślał bogobojny artysta. — Gdyby to stęsknione ramiona dosięgnąć mogły tych wysokich gór i na nich, jak kołyszących się okrętach, wznieść się mogły wyżej, coraz wyżej!

Nagle pojął, że te białe chmury dnia letniego, to statki, na których płyną dusze błogosławionych.

Widział je tam, w górze, wznosiły się w powietrze z liliami w ręku i złotymi koronami na głowach. Powietrze rozbrzmiewało ich śpiewem. Na ich spotkanie zlatywały anioły na silnych, szerokich skrzydłach. O, jakież mnóstwo tych błogosławionych! Im bardziej chmury się rozsuwały, tem widoczniejszymi byli. Spoczywali na łożach z chmur, jak białe grzebienie na cichem jeziorze. Co za rozkoszna jazda! Jedna chmura za drugą sunęła, a wszystkie wypełnione były niebieskimi zastępami w srebrnej zbroi, wśród nieśmiertelnych śpiewaków w płaszczach bramowanych purpurą.

Ten to artysta malował później sklepienie

w kościele w Svartsjö. Pragnął odtworzyć owe rosnące chmury dnia letniego, na których błogosławieni dostają się do królestwa niebieskiego. Ręka, która dzierżyła pędzel, silna była, lecz nieco sztywna, to też chmury przypominały raczej loki peruki, niż wznoszące się z miękkiej mgły góry. A świętych nie potrafił tak oddać, jak się ułożyli w jego wyobraźni; ubrał ich jak zwyczajnych ludzi w długie, czerwone płaszcze i twarde, biskupie czapki, lub w ogromne kaftany o sztywnych kołnierzach, jakie noszą księża. Zrobił im wielkie głowy, a małe członki i zaopatrzył ich w chusteczki od nosa i książki do nabożeństwa. Lacińskie sentencye zwieszały im się z ust, a dla tych, których uważał za najdosłojniejszych, umieścił mocne, drewniane stołki na chmurach, aby w siedzącej, wygodnej pozycji dostać się mogli do nieba.

Ale Pan Bóg i wszyscy ludzie wiedzieli przecież, iż duchy i anioły nigdy się biednemu artyście nie ukazały, to też nie dziwnego, że ich nie zrobił nadziemsko pięknymi. Niejednemu nawet obraz pobożnego malarza wydał się nadzwyczaj piękny i niejedno nabożne wzruszenie potrafił wywołać.

Ale w roku rządów rezydenckich kazał hrabia Dohna cały kościół pobielic. Wtedy zdarto obraz a równocześnie zniszczono wszystkie gliniane figury świętych.

Ach, ci gliniani święci!

Lepiejby było, gdyby nędza ludzka potrafiła mi tyle zmartwienia sprawić, ile go doświadczyłam nad ich utratą; gdyby mnie ludzkie względem ludzi

okrucieństwo taką goryczą napełniło, jaką odczułam z ich powodu.

Ale pomyślcie sobie: był tam święty Olaf z koroną na helmie, toporem w rękę i pokonanym olbrzymem u nóg; na kazalnicy stała święta Judyta w czerwonym staniku i niebieskiej spódnicy, z mieczem w jednej, klepsydrą w drugiej ręce — zamiast głowy asyryjskiego wodza; była tajemnicza królowa Saba w niebieskim gorsecie, a czerwonej spódnicy, z męczynicem na jednej nodze, z rękami pełnymi ksiąg mądrości; był święty Jerzy, który sam jeden leżał na ławie, na chórze, gdyż zarówno koń, jak smok, stłukł się; był też święty Krzysztof z wypuszczającą listki laską i święty Eryk z berłem i toporem, w krótkim, złotem obszytym płaszczu.

Niejedną niedzielę przesiadziałam w kościele w Svartsjö, bolejąc nad tem i tęskniąc do postaci, których tu już nie było. Nie byłabym się tak bardzo martwiła, gdyby im uszkodzono nos lub nogę, lub gdyby złocenie było się starło. Byłabym je widziała opromienione blaskiem legendy.

Zawsze tak podobno bywało z tymi świętymi, że tracili berła, uszy lub nos i musiano je naprawiać i sztukować. Ale chłopci nie byliby skrzywdzili swoich świętych, gdyby nie hrabia Henryk Dohna. On to kazał ich usunąć.

Nienawidziałam go za to, jak tylko dziecko nienawidzić umie, jak ubogi rybak nienawidzi swawolnego chłopca, który mu sieć rozdarł lub dziurę w łodzi wybił. Nienawidziałam go, jak głodny żebrak nienawidzi skąpej gospodyni, która mu odmawia chleba. On zabrał mi chleb, którym miała się kar-

mić dusza moja. Jakżeż tęskniłam do nieskończoności, do nieba! A on zniszczył mój statek, rozdarł sieć, którą łowić miałam święte wizye.

W świecie ludzi dorosłych niema miejsca na prawdziwą nienawiść. Czyż mogłabym obecnie nienawidzić taką marną istotę, jak ten hrabia Dohna, lub takiego szaleńca, jak Sintram, albo taką przeżyta, światową damę, jak hrabina Marta? Ale kiedy byłam dzieckiem—ho! szczęściem, że tak dawno pomierali.

Proboszcz może stał właśnie na kazalnicy i mówił o zgodności i spokoju, ale daleko, tam, gdzieśmy siedzieli, nie było słyhać słów jego. Gdybym była miała dawnych, glinianych świętych, oni na kazaliby mi słuhać i zrozumieć.

Tak więc siedziałam tylko i rozmyślałam nad tem, w jaki sposób się to stało, że ich porwano i zniszczono.

Gdy hrabia Dohna kazał ogłosić małżeństwo swoje za nieważne, zamiast poszukać żony i przywrócić jej dawne stanowisko — wywołał u wszystkich słuszne oburzenie, gdyż wiadano, że hrabina Elżbieta opuściła jego dom jedynie dlatego, aby nie została na śmierć zadęczoną. To też zdawało się, jak gdyby pragnął odzyskać łaskę Bożą i szacunek ludzki jakimś dobrym uczynkiem i kazał odnowić kościół w Svartsjö. Cały kościół polecił pomalować na białe, a obrazy ze sklepienia kazał zedrzyć. On sam ze swoimi pacholkami zaniesli je na łódź i wpuścili na głębiny jeziora.

Że też taka zbrodnia spełnić się mogła! Czyż dłoń, która ścięła głowę Holofernesowi, nie dźmierzy-



ła już miecza? Czyż królowa Saba zapomniała już wielkiej, świętej mądrości, która srożej rani od za-trutej strzały? Święty Olafie, ty starożytny Wikin-gu, święty Jerzy, ty dzielny pogromco smoka, czyż wieść o waszych czynach bohaterskich przestała krążyć, czyż gloria cudów przybladła?

Zapewne sprawa się miała tak, że święci prze-ciw gwałtowi nie chcieli użyć gwałtu. Skoro chłopci w Svartsjö nie chcieliłożyć więcej ani na farbę na suknie, ani na pozłotę do korony, przystali na to, że hrabia Dohna ich wyrzucił i zatopił w bezden-nem jeziorze! Nie chcieli tam dłużej stać, szpecąc kościół. Biedacy, przypominali sobie zapewne cza-sy, gdy modlono się do nich na kolanach.

Siedziałam i myślałam o tej łodzi wyładowa-nej świętymi, jak pewnego cichego letniego wieczora sierpniowego mknęła po lśniącej tafli jeziora. Wioślarz zwolna wyciągał z wody wiosła i spoglą-dał wystraszony na niezwykłych podróżnych, leżą-cych na łodzi, ale hrabia Dohna, który także był o-becny, nie bał się wcale. On sam, własnoręcznie brał jednego po drugim i ciskał w wodę. Czoło je-go było jasne, oddychał głęboko. Czuł się niejako bojownikiem czystej, ewangelicznej wiary. I nie stał się cud. Bez buntu, cicho, zapadali święci w przepaść.

Następnej niedzieli kościół w Svartsjö jaśniał białością. Wizerunki nie mąciły już spokojnej kon-templacji ducha. Tylko oczyma duszy powinni po-bożni oglądać wspaniałości nieba i wizye świętych. Modlitwy ludzkie na własnych skrzydłach powinny

się wznosić w górę, nie zaś czepiać się kraju szaty świętych.

Zieloną jest ziemia, siedziba ludzi, błękitne niebo, cel ich tęsknoty. Świat cały jest pełen barw. Dlaczego kościół ma być biały? Biały, jak zima, na-gi, jak ubóstwo, blady, jak trwoga. Nie skrzy się szronem, jak las w zimie. Nie połyskuje perłami i ko-ronkami, jak oblubienica. Zimny, biały jak płótno jest kościół, bez posągów, bez obrazu.

Owej niedzieli siedział hrabia Dohna na chó-rze, w kwiatami ozdobionym fotelu, aby go wszyscy widzieć i chwalić mogli. Chciał, żeby go sławiono za to, że ponaprawiał stare ławki, że uszkodzone posągi zniszczył, nowe szyby wprawić kazał na miej-sce stłuczonych, a cały kościół przeciągnąć kazał farbą wodną. Nie napotkał w tem żadnych trudno-ści. Że chciał przejednać gniew Najwyższego, nie w tem złego, gdy w tym celu przyozdobił Jego świątynię, jak uważał za stosowne. Ale dlaczego szukał uznania? On, który przybył tu z sumieniem, obarconem nieprzejednaną surowością, powinien był na kolana się rzucić przed ławką dla żebraków i braci i siostry prosić, by modlili się za niego do Boga, iżby go w miłosierdziu Swojem chciał ścier-pieć.

Ach hrabio Henryku! Bóg spodziewał się cie-bie bezwątpienia na ławce nędzarzy. On nie dał się zwieść tem, że ludzie nie mieli odwagi cię zganić. On jest zawsze jeszcze tym surowym Bogiem, który kamieniom mówić każe, gdy ludzie milczą.

Kiedy nabożeństwo się skończyło i ostatnia pieśń przebrzmiała, nie wychodził nikt z kościoła,

bo proboszcz wszedł na kazalnicę, aby wygłosić mowę dziękczynną do hrabiego.

Wtem nagle drzwi się otwarły i weszli święci, ociekający wodą, zabrukani mułem zielonym i brunatnem błotem. Zapewne posłyszeli, że tu miano wygłosić mowę pochwalną na cześć tego, który ich wyrzucił ze świętego przybytku Bożego i zanurzył ich w zimnych, zgnitych falach.

A oni nie lubią monotonnego fal plusku.

Przywykli do modlitw i nabożnych pieśni. Milczeli i godzili się na wszystko, póki przypuszczali, że dzieje się to jedynie ku czci Bożej. Ale stało się inaczej. Oto hrabia Dohna w chwale i dumie zasiadł wysoko, na chórze, oczekując, żeby go w domu Bożym chwalono i wysławiano. Na to nie mogli pozwolić. Dlatego opuścili swój wilgotny grób i przybyli do kościoła — cała parafia ich poznała. Oto święty Olaf z koroną na helmie i święty Eryk ze złotymi kwiatami na płaszczu i święty Jerzy i święty Krzysztof. Reszty brak: królowa Saba i Judyta nie przyszły.

Gdy ludzie oprzytomnieli cokolwiek ze zdumienia, przeszedł szept po kościele: „rezydenci!“ Naturalnie, że rezydenci! Nie mówiąc słowa, idą prosto do hrabiego, biorą fotel jego na ramiona, wynoszą go z kościoła i zostawiają na pagórku pod kościołem.

Nie nie mówią, nie patrzą ani w prawo, ani w lewo. Poprostu wyrzucili hrabiego Dohnę z domu Bożego, a to uczyniwszy, odchodzą najbliższą drogą w stronę jeziora. Nikt ich nie zatrzymywał,

nikt nie zastanawiał się, dlaczego to zrobili—wszak było jasne, jak na dłoni.

Zdawali się mówić:—My, rezydenci, mamy swoje własne zdanie. Hrabia Dohna nie zasługuje, aby go w kościele sławiono, dlatego go wynosimy. Jeżeli kto chce, może go wnieść napowrót.

Ale nikt go nie wniósł. Proboszcz mowy pochwalnej nie wygłosił nigdy. Parafianie tłumnie opuścili kościół. Nikogo nie było, ktoby nie przyznał, że rezydenci mieli słuszność.

Przypomnieli sobie młodą, wesołą hrabinę, którą na Borgu tak okrutnie dręczono. Przypomnieli ją sobie, taką dobrą dla ubogich, ją, na którą tak miło było spojrzeć, że sam jej widok był pociechą strapionym.

Wprawdzie grzechem było w taki sposób wchodzić do kościoła, ale zarówno proboszcz, jak parafianie czuli, że omal gorszego żartu nie dopuścili się względem Najwyższego; zawstydzili ich ci zdziczały, starzy szaleńcy.

— Gdy ludzie milczą, muszą przemówić kamienie—pomyśleli.

A od niedzieli onej hrabia Henryk nie mógł wysiedzieć na Borgu. Pewnej ciemnej nocy stanęła zamknięta karetka przed głównym wejściem. Wszystkie służba ustawiła się naokół: okryta szalami, z gęstym welonem opuszczonym na twarz wyszła hrabina Marta. Prowadził ją hrabia drżąca, dygocąca. Z trudem udało się nakłonić ją do wejścia do sieni i na schody.

Szczęśliwą się uczuła, gdy się znalazła w po-

wozie. Hrabia wskoczył za nią, zatrzaśnięto drzwi i woźnica [popędził konie. Gdy wrony zbudziły się nazajutrz, jej już nie było.

Odtąd mieszkał hrabia stale na południu. Borg sprzedano, a właściciele zmieniali się szybko—wszyscy musieli bowiem pokochać ten śliczny zakątek, ale mało kto był w nim szczęśliwy.

WYŚLANNIK BOŻY.

Wyślannik Boży, kapitan Lennart, przybył pewnego południa sierpniowego do oberży w Broby i prosto skierował się do kuchni. Dążył on do swego domu Helgesäter, leżącego tuż pod lasem, o ćwierć mili na północ od Broby.

Kapitan Lennart wtedy nie wiedział jeszcze nic o tem, że na ziemi stanie się wyślannikiem Bożym. Serce biło mu radością na myśl, że ujrzy swój dom rodzinny. Ciężko dotknął go los, ale teraz wszystko pójdzie w zapomnienie, skoro powrócił do swoich, do domu. Nie wiedział, że jest z tych, którzy nie mogą spocząć pod własnym dachem, nie mogą ogrzać się u własnego ogniska.

Kapitan Lennart był wesołego usposobienia. Nie zastawszy nikogo w kuchni, zaczął w niej gospodarować, jak pustak młody. W mgnieniu oka przestawił kołowrotek, poplątał przędziwo, kota rzucił na głowę psu i śmiał się, aż rozbrzmiewało po całym domu, gdy dwaj towarzysze w przystępie

zaciekłości zerwali dawną przyjaźń i rzucili się na siebie z ostremi pazurami, wścieklemi spojrzzeniami i najeżoną sierścią.

Zwabiona hałasem, nadbiegła gospodyni. Przystała w progu i patrzyła na człowieka śmiejącego się z walczących zwierząt. Znała go dobrze, ale gdy go ostatni raz widziała, miał kajdany na rękach, jako więźnia. A mianowicie przed pięciu laty przeszło złodziej jakiś na jarmarku w Karlstadzie skradł klejnoty pani radczyni. Zginęło wtedy dużo pierścieni, bransolet i klamer, które dama ta wysoce ceniła, gdyż były to podarunki lub dziedziczne klejnoty. Nie znaleziono ich, a po całej okolicy ogłoszono, że kapitan Lennart jest sprawcą kradzieży.

Gospodyni nie mogła zrozumieć, w jaki sposób wieść taka mogła się rozejść. Przecież kapitan Lennart był dobrym, uczciwym człowiekiem. Żył przykładnie z żoną, którą pojął dopiero przed kilku laty, gdyż środki nie pozwalały mu ożenić się wcześniej. Ale teraz miał dostateczne utrzymanie przy pensyi i mieszkaniu. Co mogłoby skłonić takiego człowieka do ukradzenia bransolet i pierścionków? A jeszcze dziwniejsze jej się wydało, że taka pogłoska mogła znaleźć wiarę i zostać dowiedzioną tak, że kapitana spensyonowano, odebrano mu order i zasądzono na pięć lat przymusowych robót.

Sam utrzymywał, że był na jarmarku, ale wrócił, zanim posłyszał cośkolwiek o tej kradzieży. Na gościńcu znalazł brzydką, starą klamrę, którą podniósł i darował dzieciom. A klamra ta była ze złota i należała do skradzionych rzeczy — w tem było

całe nieszczęście. Właściwie Sintram tak mu się przysłużył. Niegodziwiec ten oskarżył go i złożył świadectwo, na mocy którego go skazano. Widocznie trzeba mu było usunąć z drogi kapitana, gdyż wkrótce potem wytoczono jemu samemu proces: okazało się bowiem, że w r. 1814s przedawał proch Norwegom. Powszechnie mówiono, że bał się kapitana Lennarta, jako świadka. Z braku dowodów został wtedy uwolniony.

Gospodyni nie mogła się na niego napatrzeć. Włosy mu posiwiały, plecy się zgarbiły — ciężkie miał zapewne życie. Ale pogodna twarz i dobry humor go nie opuściły. To był ten sam kapitan Lennart, który ją prowadził do ołtarza i tańczył na jej weselu. Zawsze jeszcze gotów był z każdym spotkanym w drodze człowiekiem przystanąć i rozmawiać, każdemu dziecku centa rzucić, każdej starej, pomarszczonej kobiecie powiedzieć, że z każdym dniem staje się młodszą i piękniejszą, gotów był stanąć na bezce i przygrywać ludziom do tańca.

— No, matko Katarzyno — odezwał się — nie chcecie wcale na mnie patrzeć!

Wstąpił umyślnie, aby się dowiedzieć, co słychać u jego rodziny, czy go oczekują. Muszą przecież wiedzieć, że o tym czasie kończy się jego kara.

Oberżystka miała dla niego same dobre wieści. Zona jego okazała się dzielną kobietą, jak mężczynna. Wydzierżawiła folwark od nowego właściciela i wszystko się jej wiedzie. Dzieci chowają się ładnie, aż miło spojrzeć. I naturalnie, czekają na niego. Zona kapitana była to małomówna kobieta,

nie mówiąca nigdy o tem, co jej myśl zaprzętało — tyle jednak oberżystka wiedziała, że nikomu nie wolno było jeść łyżką kapitana, ani siedzieć w jego krześle w czasie jego nieobecności. Teraz, od wiosny nie było dnia, żeby nie wychodziła na najwyższy pagórek, patrzeć, czy nie idzie. I nowe ubranie mu sprawiła, z własnego przedziwa, które niemal wyłącznie ona wykonała. Z wszystkiego tego wnosić można, że go się spodziewa w każdej chwili, chociaż nic o tem nie mówi.

— Ale chyba nie wierzą tam w to? — zapytał kapitan Lennart.

— Nie, panie kapitanie, nikt nie wierzy! — uspokoiła go kobieta.

Nie mógł dłużej wytrzymać w karczmie, spieszo mu było do domu.

Wyszedłszy, spotkał się przypadkiem z dawnymi, dobrymi znajomymi. Rezydenci z Ekeby właśnie zajechali do oberży, gdzie zaprosił ich Sintram na obchód swoich urodzin. Rezydenci bez chwili namysłu podali rękę skazańcowi, witając go serdecznie. To samo uczynił też Sintram.

— Kochany Lennarcie—odezwał się on—bądź przekonany, że Pan Bóg musiał w tem mieć cel jakiś.

— Ty lotrze! — zawołał Lennart. — Myślisz, że nie wiem, iż mnie tylko dobry Bóg ocali od szubienicy?

Tamci zaczęli się śmiać, a Sintram wcale się nie zgniewał. Nic mu to nie szkodziło, że robiono aluzje do jego konszachtów z dyablem.

I namówili kapitana, aby wrócił z nimi i wy-

pił kieliszek na przywitanie, a zaraz potem będzie sobie mógł odejść. Ale biedakowi to nie posłużyło. Od pięciu lat nie miał w ustach nic podobnego. Może cały dzień nie jadł, zmęczyła go długa wędrówka. To też kilka kieliszków już odebrało mu przytomność. Gdy rezydenci do tego doprowadzili, wmuszali w niego jeden kieliszek po drugim. Nie mieli nic złego na myśli, robili to z dobrego serca, żal im go było, że przez pięć lat nie mógł używać na takich specyałach.

Zwyczajnie był to jeden z najtrzeźwiejszych ludzi. Można sobie wyobrazić, że nie miał zamiaru się uspić — szedł przecież do żony i dzieci. Zamiast tego jednak, leżał na ławie w karczmie i spał.

Gdy tak leżał bezprzytomny, wziął Gösta kawałek węgla i posmarował mu twarz, nadając jej charakter zbrodniczy: — mówił, że to będzie odpowiednie, skoro wraca z więzienia. Zrobił mu oko „podbite“, przez nos przeprowadził jakimś sokiem czerwonym kreskę, niby bliznę, włosy w zlepionych skrętach zsunął mu na czoło i poczercił go całego.

Śmiali się z tego pomysłu chwilę; później chciał go Gösta obmyć.

— Nie, zostaw! — zawołał Sintram—jak się zbudzi i zobaczy się, będzie go to bawiło.

Tak też zostało i rezydenci zapomnieli o kapitanie. Pijatyka trwała całą noc. O brzasku zabierali się do domu. Wtedy bezwątpienia więcej mieli w głowie wina niż rozumu. Nagle przyszło im na myśl, co zrobić z kapitanem Lennartem.

— Zawieźmy go do domu! — rzekł Sintram. — Pomyślcie, jak się nim ucieszy żona. Rozkosz będzie

patrzeć na jej radość. Wzruszy mnie ten widok. Zawieźmy go do domu. Podobala się ta myśl ogólnie. Boże drogi, jakże się ucieszy surowa pani z Helgesäter!—pomyśleli.

Zaczęli szarpać kapitana, aby go otrzeźwić, wsadzili go na jeden z wozów, które zmęczeni woźnicy już oddawna przygotowali. I cała drużyna ruszyła w drogę; niektórzy zasypiali i omal z wozów nie pospadali, inni śpiewali, aby nie zasnąć. Ze swojemi obwisłemi, obrzmiałemi twarzami wyglądali nie lepiej od włóczęgów.

Przybywszy na miejsce, kazali koniom z wozami zostać na podwórzu, a sami z uroczystą powagą poszli ku frontowemu wejściu. Beerencreutz i Juliusz prowadzili kapitana.

— Zbudź się, Lennardzie!—wołali—jesteś w domu. Nie poznajesz, żeś już w domu?

Rozwarł oczy i niemal otrzeźwiał. Czuł się wzruszonym, że go odprowadzili.

— Przyjaciele—zaczął, przystając, aby do wszystkich jednocześnie się zwrócić.—Pytałem Pana Boga, dlaczego musiałem doświadczyć tak dużo złego.

— Ach, daj pokój—odezwał się Beerencreutz—kazanie zachowaj dla siebie.

— Pozwól mu mówić — bronił go Sintram — wcale dobrze mówi.

— Pytałem go i nie mogłem zrozumieć, teraz jednak rozumiem doskonale. Chciał mi pokazać, jakich posiadam przyjaciół, którzy odprowadzają mnie do domu, aby byli świadkami radości mojej i żony. Gdyż moja żona oczekuje mnie. Czemuże są wobec tego lata minionej niedoli?

Tu zaczęły silne pięści uderzać we drzwi — rezydentom szkoda było czasu na słuchanie jego mowy.

Wewnątrz powstał ruch. Służące zbudziły się i wyjrzały. Szybko zarzuciły na siebie suknie, bały się jednak otwierać takiej gromadzie mężczyzn. Wreszcie odsunięto rygle — wyszła sama pani Lennartowa.

— Czego chcecie?—zapytała.

— Przyrowadzamy męża — odpowiedział Beerencreutz, popychając naprzód kapitana. — Ujrzała go, jak chwiejnym krokiem zbliżał się ku niej, pijany, z twarzą złoczyńcy. A za nim stała cała czereda pijanych, ślaniających się mężczyzn.

Cofnęła się—on postępował za nią z otwartemi ramionami.

— Odszedłeś złodziejem, wracasz włóczęgą! — rzekła i chciała wejść do domu.

Nie zrozumiał i szedł wciąż za nią, wtedy uderzyła go w pierś silnie.

— Czy sądzisz, że zamierzam takiego, jak ty, uznać panem domu mojego i dzieci moich? — zapytała i drzwi się za nią zamknęły, zasuwę zatrzasnęły.

Kapitan Lennart rzucił się na drzwi i zaczął je szarpać. Wtedy rezydenci nie mogli się wstrzymać od śmiechu. Taki był pewny swojej żony, a ona nie chce nic o nim słyszeć. To im się wydawało zabawne.

Gdy kapitan posłyszał ich śmiech, rzucił się na nich, chcąc ich bić. Zaczęli uciekać ku swoim wozom. On puścił się za nimi, lecz potknął się na

kamieniu i upadł. A gdy się podniósł, nie gonił już rezydentów. W pomieszeniu tem błysnęła mu nagle myśl: Na świecie nie dzieje się bez woli Bożej nic, nawet rzecz najmniejsza.

— Dokądże mnie wiesziesz?—zapytał.—Jestem piórkiem, które lata za Twoim podmuchem. Jestem piłką w Twoich ręku. Dokądże mnie wiesziesz? Dlaczego zamykasz przedemną drzwi mego domu?

I odszedł od swego domu w przekonaniu, że Bóg chce tego.

Gdy słońce weszło, stał na jednym ze wzgórz Broby i spoglądał w dolinę. Mieszkańcy jej nie wiedzieli wtedy, że zbawca ich znajduje się tak blisko. Nie kładziono listków wonnej lawendy i polnych kwiatów na progi, które on miał przekraczać; matki nie brały dzieci na ręce, aby im go pokazać, gdy będzie przechodził; wewnątrz chat nie było odświeżone przybrane; czarna czeluść pieca nie była zakryta pachnącym jałowcem. Mężczyźni nie dokładali starań, aby dobrze utrzymane pola i bujne łąki cieszyć mogły oko jego.

Ztąd, gdzie stał, smutny jego wzrok dojrzał, jak susza spustoszyła okolicę, jak zniszczyły się zasiewy, jak ludzie nie mają nawet ochoty przygotować ziemi pod nowy zasiew. Spojrzał w stronę sinych gór, a wschodzące słońce oświetliło czarne, wypalone miejsce, gdzie szalał ogień. Oglądał przydrożne brzozy: susza je niemal skurczyła. Z rozmaitych drobnych szczegółów, po zapachu paszy, gdy przechodził obok zagrody jakiejś, po wywróconych płotach, po małej ilości drzewa opałowego, przywiezionego do domu i zrabanego—poznał, że ludzie

nie dbali o swoją chudobę, że nadeszła nędza, że szukają pociechy w zubożeniu i wódce.

Ale może dobrze się stało, że on zobaczył to wszystko. Jemu nie było danem na własnym polu oglądać zasiewów zieleniejących i wypuszczających kielki, nie było mu danem siedzieć przy własnym ognisku i patrzeć, jak żar gaśnie i czuć, jak miękkie dłonie jego dzieci wsuwają się w jego ręce; nie danem mu było pobożnej małżonki widzieć u boku swego. Może więc dobrze było dla niego, którego ciężka gniotła troska, wiedzieć, że istnieją ludzie, potrzebujący jego pociechy. Może dobrze dla niego było, że czasy były ciężkie, że skąpstwo natury sprowadziło nędzę biedaków, że niejeden, któremu się lepiej powiodło, starał się pognać swoich braci. Niedarmo przecież proboszcz z Broby, chciwy sknera, był ich współnikiem, nie zaś prawdziwym pasterzem; niedarmo rozrzutni, opilce, rezydenci rządili w Ekeby, niedarmo Sintram wmawiał w nich, że śmierć i zagłada spadnie na nich wszystkich.

Kapitan Lennart stał na wzgórzu i mimowoli przyszło mu na myśl, że Pan Bóg go potrzebuje. A przytem nie wezwała go do siebie żona, przejęta skruczą.

Rezydenci nie mogli w żaden sposób zrozumieć, że to oni byli przyczyną surowego postępowania pani Lennartowej. Sintram nic im nie przypominał, a oni zgola zapomnieli o swoim figlu. W okolicy oburzano się na żonę, która była za dumną, aby przyjąć tak dobrego męża. Opowiadano, że natychmiast przerywała każdemu, kto usiłował przemówić u niej za mężem. Nie mogła znieść, aby

wspominano jego imię. Kapitan zaś nie uczynił nic, aby wpłynąć na zmianę nim sądu.

Następnego dnia dogorywał jakiś stary wieśniak w sąsiedniej wsi. Sakrament święty już przyjął, siły żywotne go opuściły, koniec jego był bliski. Niespokojny, jak ktoś, wybierający się w daleką podróż, kazał swoje łóżko z kuchni do izby, a stąd znów do kuchni przenosić. Po tem łatwiej niż po ciężkim oddechu poznać, że nadeszła ostatnia jego chwila.

Otaczają go: żona, dzieci, czeladź. Był szczęśliwy, bogaty, poważany. W godzinie śmierci nie jest osamotniony. Nie obcy, niecierpliwi ludzie otaczają łożę jego. Starzec zaczyna mówić o sobie samym, jak gdyby już stał przed tronem Przedwiecznego, a wśród westchnień przyświadczają mu otaczający, że słowa jego są prawdziwe.

— Byłem pracowitym robotnikiem i dobrym gospodarzem — mówi. — Kochałem żonę swoją, jako mą rękę prawą. Dzieci moje nie wyrosły bez opieki i karności. Nie piłem. Nie przesuwalem kamienia granicznego. Gdy koń mój szedł pod górę, nie spinałem go ostrogą, krów nie głodziłem w zimie, o wiew latem nie puszczałem niestrzyżonych.

A naokół czeladź płacząca powtarza, jak echo: Dobry to był gospodarz, ach, Panie Boże! Gdy koń szedł pod górę, nie spinał go ostrogą, krów nie głodził w zimie.

Wtem niepostrzeżenie wszedł jakiś wędrowiec, prosząc, aby mu dano co zjeść i napić się. W milczeniu stojąc u proga, słyszał słowa konającego.

— Lasy wytrzebiłem, łąki wysuszyłem — mówi

starzec dalej. — Pług ciągnąłem równemi brzdami. Stodolę wystawiłem trzy razy tak wielką, na trzy razy tyle zboża, co za moich ojców. Kazałem zrobić trzy srebrne kubki z błyszczących talarów, mój ojciec sporządził zaledwie jeden.

Słowa te docierają do uszu nieznanomego. Słyszy go świadczącego o sobie samym, jak gdyby stał przed tronem Boga. Słyszy dzieci i czeladź przytwierdzającą:—Równemi brzdami ciągnął pług, tak, święta prawda!

— Bóg wyznaczy mi dobre miejsce w królestwie swoim—ciągnął dalej chory...

— Dobry Bóg przyjmie naszego gospodarza — mówi czeladź.

Człowiek u drzwi stojący słyszy te słowa i przerażenie go ogarnia, jego, który pięć długich lat był piłką w ręku Boga, piórkiem, latającem za Jego podmuchem. Przystępuje do chorego i bierze go za rękę.

— Przyjacielu — rzecze, a głos mu drży wzruszeniem—czy pomyślałeś, kim jest ten, przed którego obliczem staniesz niebawem? Jestto wielki Bóg, potężny Bóg. Światy są Jego rolami, orkany Jego końmi. Wielkie światy drżą pod ciężarem Jego kroków. A ty stajesz naprzeciw Niemu i powiadasz:—Równe bródzy ciągnąłem, żyto siałem, drwa rąbałem. Czy chcesz się chęłpic wobec Niemu i mierzyć się z Nim? Nie wiesz chyba, jak potężny jest Pan, w którego królestwo wstępujesz.

Starzec otwiera szeroko oczy, twarz mu się wykrzywia strachem, charcze głośno.

— Nie stawaj przed Bogiem twoim z wielkie-

mi słowami na ustach!...—ciągnie dalej wędrowiec.— Potężni świata tego są jako plewy w Jego stodołę. On morza wyłobił i góry spiętrzył. On ziemię okrył roślinnością. On jest robotnikiem niezrównanym, ty nie możesz się z Nim mierzyć. Ukorz się przed Nim, ty odlatująca duszo ludzka. Padnij w proch przed Bogiem twoim i Panem. Boski gniew wisi nad tobą, jak niszcząca burza. Ukorz się! Jak dziecię uchwycić się szaty Jego i prosić o opiekę. Tarzaj się w prochu, błagaj łaski. Ukorz się przed twoim Stworzycielem, ty duszo ludzka!

Oczy chorego rozwarły się szeroko, ręce się splotły, lecz twarz pojaśniała i charczący dźwięk ustąpił.

— Ludzka duszo, odlatująca ludzka duszo! — woła wędrowiec.—Jak pewnem jest, żeś w ostatniej swojej godzinie ukorzyła się przed swoim Bogiem, tak pewnem jest, że On jak dziecię weźmie cię na ręce i zanieś w krainę niebieską.

Starzec raz jeszcze westchnął głęboko i wyzionął ducha. Kapitan Lennart, skłoniwszy głowę, modlił się. Wszyscy w izbie modlą się i głęboko wzdychają.

Gdy oczy podnieśli, ujrzeni starca leżącego spokojnie. Oczy jego zdają się jeszcze promienieć od blaskiem pięknych obrazów, usta uśmiechają się, twarz jest pogodna.

— O, ty wielka, piękna duszo ludzka—myślą wszyscy, którzy patrzą na niego—potargalaś już więzy prochu ziemskiego. W ostatniej godzinie wzniosłaś się do Stwórcy swego. Ukorzyłaś się przed

Nim. On cię uniósł jak dziecię w swoich ramionach.

— On widział Boga — powiedział syn i przyknał starcowi powieki.

— Widział otwarte niebo — łkają dzieci i czeladź.

Stara matka kładzie drżącą rękę w prawicę kapitana Lennarta.

— Panie kapitanie, w najgorszej chwili przyszedłeś mu pan z pomocą!

On stoi milczący. Oto spadła na niego łaska silnych słów i wielkich czynów i nie wie jak i z kąd? Drży, jak motyl wykluwający się z poczwarki, gdy skrzydelka jego rozwijają się od promieni słonecznych, a polyskują jak słońce samo.

Ta chwila pchnęła kapitana między ludzi. Inaczej byłby zapewne wrócił do domu i pokazał się żonie we właściwej swojej postaci, ale od tej chwili był przekonany, że Bóg potrzebuje usług jego. Stał się tedy wysłańcem Bożym, który biedakom niesie pomoc i pociechę. A bieda i nędza wówczas były wielkie i mądrość a dobra wola mogły więcej zdziałać, niż złoto i potęga.

Pewnego dnia zaszedł kapitan do biednych chłopów, mieszkających w okolicy Gurlittberga. Nędza wśród nich panowała wielka, nie mieli już kartofli do jedzenia, nie mogli siać żyta na wypalonych polach, gdyż zabrakło im ziarna.

Wtedy kapitan wsiadł w małą łódkę i popłynął na drugą stronę jeziora do Sintrama, prosząc

go, aby biedakom dał ziarna i ziemniaków. Sintram przyjął go dobrze, zawiódł do wielkich, pełnych śpichrzów i do piwnic, gdzie złożone były ziemniaki jeszcze z zaprzeszłego zbioru. Kazał mu napełnić wszystkie sakwy i wory, które przywiózł z sobą.

Gdy Sintram zobaczył łódź kapitana, zauważył, iż jest za mała na ten ciężar. Niegodziwy człowiek kazał wory przenieść na jedną ze swoich dużych łodzi i powierzył ją parobkowi swojemu, silnemu chłopu imieniem Mans. Kapitan Lennart miał więc tylko wiosłować swoją małą łódką.

A jednak silny Mans prześcignął go, gdyż był to mistrz w wiosłowaniu i silacz niezwykły. Kapitan, płynąc po pięknym jeziorze, zadumał się; myślał o cudownych losach małych kielków na zasiew. Teraz rzuci się je na czarną ziemię, pełną popiołu, między kamienie i kawałki drzewa, a one jednak rosnąć w niej będą i korzonki wypuszczą. Myśli o miękkich, jasnozielonych źdźbłach, które pokrywają ziemię i w duchu schyla się i pieśczośliwie przesuwają po nich dłońmi. Potem myśli, jak jesień i zima przejdą po tych małych biedactwach, które tak późno z ziemi wyszły, i o tem, jakie one będą dzielne, świeże, kiedy wiosna przyjdzie i naprawdę rosnąć będą mogły. I raduje się jego rycerskie serce na samą myśl o tych sztywnych źdźbłach, które będą stały smukłe, na kilka łokci wysokie, zakończone kłosami.

Kłosa te będą powiewały swojemi małemi pióropuszcami tak, że pyłek nasienny ułatywać będzie w górę aż po wierzchołki drzew, a wreszcie wśród

widocznej trwogi i walki napełnią się kłosa słodkiem, miękkim ziarnem. A później, gdy sierp na nie spadnie i kłosa ścinać będzie, jak też cepy stuknąć w nie będą głośno! Myśli o tem, jak młyn z mąką zmiele te ziarenka, a z mąki wypieczę się chleb— ileż to ludzi zaspokoi swój głód temi małemi ziarnami, które teraz płyną przed nim łodzią!

Parobek Sintrama przybił pod mostem i mnóstwo głodnych zjawilo się natychmiast. Wtedy odezwał się parobek, nauczony przez pana swego:

— Pan Sintram przysyła wam tu słód i ziarno. Słyszał, że brak wam wódki.

Ludzi ogarnął jakgdyby szal. Rzucili się na łódź, wskakiwali do wody, aby zabierać wory. A nie tego chciał kapitan Lennart.

I on w tej chwili wylądował i zgniwał się, widząc gwałtowność chłopów. Chciał rozdzielić kartofle na pokarm, a żyto pod zasiew, nie miał zgoła zamiaru o słód prosić.

Wołał na nich, aby wory zostawili, ale go nie usłuchali.

— Niechże zatem w gardłach waszych zamieni się żyto w piasek, a ziemniaki w kamienie!—zawołał rozgniewany, że zabrali zboże.

W tej chwili zdało się, jak gdyby kapitan Lennart cud uczynił. Dwie kobiety, które się kłóciły o jakiś wór, zrobiły w nim dziurę i ujrzały sam piasek. Chłopi, niosący worki z kartoflami, spostrzegli, że są tak ciężkie, jak gdyby były wypełnione kamieniami. Był to więc tylko piasek i kamienie, nie, tylko piasek i kamienie. Ludzie przerażeni stali, dziwiąc się mężowi Bożemu, który im się ukazał.

Kapitan sam przez chwilę stał osłupiały ze zdumienia. Ale Mans się śmiał.

— Wracaj do domu, człowieku — odezwał się kapitan—zanim się spostrzegą, że w worach nic innego nie było, prócz kamieni i piasku, gdyż lękam się, by cię nie zatopili razem z łodzią.

— Nie boję się — odparł zuchwały parobek.

— A jednak wracaj lepiej do domu — powiedział kapitan tak stanowczym głosem, że tamten usłuchał nałychmiast.

Później tłumaczył kapitan chłopom, że Sintram ich oszukał, ale nie chcieli mu wierzyć, przekonani, że stał się cud. Wieść o tem rozeszła się wkrótce, a że próści ludzie mają pewne upodobanie w nadzwyczajnościach, powstało ogólne przekonanie, że kapitan Lennart może działać cuda. Pozy-skał przez to wielkie znaczenie u ludu i nazywano go odtąd powszechnie wysłańcem Bożym.

DAWNE PIOSENKI.

Pewnego cichego popołudnia z końcem sierpnia Maryanna Sinclair siedziała w swoim pokoju, porządkując listy i papiery.

Wszystko stało w pogotowiu: wielkie skórzane kufry podróżne i żelazem okute paki włożono do pokoju, suknie leżały na krzesłach i sofach; ze strychu, z szaf i z bejcowanych skrzyń wydobyto wszystko; jedwab i cienkie płótno połyskiwały, klejnoty porozkładano do odczyszczenia, szale i futra mają być przebrane i opatrzone, czy nie brak czego.

Maryanna wybierała się bowiem w długą podróż. Była w chwili przełomowej swego życia, dlatego paliła mnóstwo listów dawnych i dzienniczków. Wspomnienia przeszłości nie będą jej już ciężki.

Gdy tak siedzi i przepatruje wszystko, wypada jej z ręki zwitek starych piosenek. Były to przepisane dawne piosenki ludowe, które jej matka zwy-

kła była śpiewać w jej dzieciństwie. Rozwiązała sznurek i zaczęła czytać.

Po chwili uśmiechnęła się smutno—dziwna to była mądrość, którą zawierały te stary piosenki.

— Nie wierz szczęściu! nie wierz pozorom szczęścia—nie wierz różom i najpiękniejszym kwiatom.

— Nie wierz uśmiechowi! — mówiły. — Patrz, panna Valborga jedzie w czerwonej wyłacanej karrecie, a przecież jest smutna, jak gdyby kopyta końskie i koła przejść miały po szczęściu jej całego życia.

— Nie wierz tańcowi!—mówiły.—Niejedna noga sunie lekko po posadzce, gdy serce ciąży oliwem. Młoda Krystyna tańczyła tak wesoło i wdzięcznie ze śmiercią w duszy.

— Nie wierz żartom!—mówiły.—Niejeden siada do stołu z uśmiechem na ustach, a wolałby umrzeć, tak smutno mu jest. Oto siedzi piękna Adelina i każe sobie podać serce księcia Frydenborgu w dziegiu kawalkach w przekonaniu, że jest to widok, który jej doda sił, by mogła umrzeć.

Ach, wy stare piosenki, w cóż tedy każecie wierzyć? W lzy i smutek?

Rzadko wzdycha wesołe serce, częściej śmieją się smutne usta. W lzy i smutek wierzą stare piosenki, w „smutek“ i „objawy smutku“. Smutek jest to rzeczywistość, trwała, pewna, podstawowa skała pod lotnym piaskiem.

Radość nie jest niczem innym, jeno zamaskowanym smutkiem. Na świecie bowiem nic innego niema, prócz smutku.

— Ach wy, rozpaczy pełne—mówi Maryanna—jakżeż marna wasza mądrość wobec pełni życia.

Podeszła do okna i spojrzała w ogród, gdzie przechadzali się jej rodzice. Chodzili po szerokich alejach, rozmawiając o wszystkim, na co ich oczy spozrywały, o kwiatkach na polu, ptaszku w powietrzu.

Przyszło jej na myśl, że właściwie wszystko zawisło od człowieka samego, że radość i smutek zależą tylko od rozmaitych sposobów pojmowania rzeczy. Pytała się sama siebie: czy radością, lub też smutkiem było to, co ją spotkało w ostatnim roku. Sama nie umiała sobie odpowiedzieć.

Przeszła ciężkie chwile. Dusza jej chora była. Wróciwszy do domu, powiedziała sobie:

— Zapomnę krzywdy, którą mi wyrządził ojciec.—Ale serce jej inaczej mówiło.—On sprawił mi najstraszniejszy ból—mówiło—on zabrał mi kochankę, do rozpaczy mnie doprowadził, bijąc matkę. Nie życzę mu nic złego, ale się go boję.

Zauważyła, iż musiała panować nad sobą, by pozostać na miejscu, gdy ojciec przysiadł obok niej; miała ochotę uciec natychmiast. Usiłowała zapanować nad sobą, rozmawiała z nim, jak dawniej i niemal wyłącznie przebywała w jego towarzystwie. Zapanować nad sobą umiała, ale cierpiała niewymownie. Doszło do tego, że wszystko w nim było jej wstrętne: jego silny, gruby głos, ciężki chód, duże ręce, cała jego ogromna postać olbrzyma. Nic mu złego nie życzyła, nie chciała mu sprawić przykrości, ale nie mogła się do niego zbliżyć bez uczucia odrazy i strachu. Jej zdeptane serce mściło się.

— Nie pozwoliłeś mi kochać—mówiło ono—ja mimo to panuję nad tobą, skończy się na tem, że mnie znienawidzisz.

Przyzwyczajona zdawna badać wszystko, co się działo w jej duszy, zauważyła dobrze, iż wstręt jej z każdym dniem wzrastał. Jednocześnie udało się jej, jak gdyby była na wieki przykuta do swego domu. Czuła, że najlepiej byłoby wejść między ludzi, ale od czasu choroby trudno jej się było zdecydować na cośkolwiek. Mówiła sobie, że nigdy nie znajdzie ulgi, że będzie coraz nieszczęśliwszą, aż pewnego dnia straci siłę panowania nad sobą, a wtedy powie ojcu wszystko, da mu poznać całą gorycz swego serca i będzie nieszczęście.

Tak minęła wiosna i pierwsza połowa lata. W lipcu zaręczyła się z Adryanem, aby mieć dom własny.

Pewnego pięknego ranka zajechał baron Adryan na wspaniałym rumaku. Jego huzarska bluza lśniła się w słońcu, nie mówiąc już o jego własnej, świeżej twarzy i promiennych oczach. Melchior Sinclaire wyszedł sam do niego na ganek i przyjmował go. Maryanna siedziała przy oknie i szyła. Widziała go zajeżdżającego i słyszała każde słowo ich rozmowy.

— Dzień dobry, rycerzu słońca!—zawołał Sinclaire.—Ależ ty prześliczny jesteś. Czyżbyś w załoty ruszał?

— Właśnie, w sam raz wujaszek utrafił!—odparł, śmiejąc się.

— I nie! wstydzisz się, chłopcze? Czemże myślisz wyzywić żonę?

— Goły jestem jak święty turecki, prawda. Ba, gdybym tylko cośkolwiek miał, tobym się przecież wystrzegął jarzma.

— Co też ty wygadujesz, rycerzu słońca! Ale haftowaną bluzę toś sobie mógł sprawić.

— Na kredyt, wujaszku, na kredyt wzięta.

— A koń, na którym siedzisz, piękny rycerzu, wart przecież całą furę złota. Zkąd przyszedłeś do niego?

— Pożyczyłem.

Temu nie mógł się oprzeć wielki pan.

— Bóg niech cię błogosławi, chłopcze!—zawołał.—Potrzebna ci żona z ładnym posagiem. Jeżeli cię Maryanna zechce, dam ci ją chętnie.

W ten sposób krótko i węzłowato załatwili panowie sprawę, zanim baron zdążył zsiąść z konia.

Po chwili Adryan wszedł do Maryanny i od razu wyjechał ze sprawą.

— Ach! droga Maryanno, z ojcem już się ułożyłem. Takbym chciał dostać cię za żonę... powiedz, że się zgadzasz, moja kochana.

W rozmowie wydobyła z niego prawdę. Stary baron, jego ojciec, znów się dał skusić na kupienie pustych terenów. Przez całe życie stary baron skupował kopalnie, w których nic nie było. Matka się tem gryzła, on sam popadł w długi, a obecnie stara się o jej rękę, aby ocalić rodzinne dobra i swoją huzarską bluzę.

Majątek ich leżał po drugiej stronie jeziora, prawie naprost Björne. Znali się bardzo dobrze, byli rówieśnikami, bawili się razem.

— Naprawdę, mogłabyś wyjść za mnie, Maryanno; widzisz, takie nędzne życie wiodę teraz! Muszę jeździć na pożyczanych koniach, nie jestem w stanie zapłacić krawca. Tak dalej być nie może. Muszę wystąpić z wojska, a wtedy nie pozostanie mi nic, jak w łeb sobie palnąć!

— Ależ, Adryanie, cóżby to było z nas za małżeństwo? Przecież nie jesteśmy w sobie zakochani ani odrobinę!

— Tak, co do miłości... to uważam ją za głupstwo—odpowiedział.— Lubię jeździć na dobrych koniach, polować, ale na kochanka nie jestem stworzony—chciałbym pracować. Gdybym tylko miał tyle pieniędzy, żeby oczyścić majątek i matce zapewnić spokojną starość, czułbym się zadowolonym. Orałbym i siał, gdyż lubię pracować.

To mówiąc, patrzył na nią swojemi dobrymi oczyma, a ona wiedziała, że mówi prawdę i że jest człowiekiem, na którym można polegać. Zaręczyła się tedy z nim głównie dlatego, żeby wyjść z domu, a po części i dlatego, że go lubiła zawsze.

Nigdy jednak nie zapomni miesiąca, który nastąpił po wieczorze sierpniowym, kiedy ogłoszono ich zaręczyny—straszny to był miesiąc!

Baron Adryan stawał się z każdym dniem bardziej milczącym i melancholijnym. Dość często zjawiał się na Björne, czasem nawet dwa razy dziennie, ale nie mogło ujść jej uwagi, że jest smutny. Jeżeli był ktoś z obcych, żartował niekiedy, w jej towarzystwie jednak był zawsze niemożliwy, nudny, milczący. Rozumiała dobrze, co mu dolega: nie było tak łatwo, jak mu się zdawało, ożenić się z brzyd-

ką dziewczyną. Teraz go napelnia wstrętem. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo jest brzydka. Dała mu do poznania, że nie pożąda pieszczot, ani zakłęb miłosnych, ale mimo to męką dla niego było wyobrażać ją sobie, jako żonę, a z każdym dniem było gorzej.

— Dlaczego się tak męczysz? — pytała się w duchu.—Czemu nie zerwie?

Dawała mu dość wyraźne w tym względzie wskazówki—ona sama nie mogła nic uczynić. Ojciec powiedział jej wręcz, że dobra jej sława obecnie już nie zniesie żadnych wykrzyków w kwestyi zaręczyn.

A potem—w kilka dni po wielkiej uroczystości zaręczynowej, ta straszna rzecz, niespodziewana!...

Na zwirowej drodze tuż przed zajazdem do dworu leżał kamień, który sprawiał dużo kłopotu i szkody. Wozy łamały się na nim, konie i ludzie się przewracali, dziewczki, które przechodziły z wielkimi wiadrami mleka, potykały się i rozlewały mleko. Kamień jednak pozostał dlatego, że tyle lat tam leżał. Był tam jeszcze za życia rodziców dzisiejszego dziedzica. On też nie uznawał, żeby właśnie on go miał usunąć.

Jednego z ostatnich dni sierpnia zdarzyło się, że dziewczki, niosące ogromny ceber, przewróciły się na kamienie. Zraniły się poważnie.

Było to w czasie śniadania. Dziedzic odbywał swą ranną przechadzkę; ponieważ ludzie właśnie byli na podwórzu, kazała pani Gustawa parobkom wykopać kamień. Wzięli tedy łopaty i drągi, kopali i podważali, w końcu powiodło im się wykopać od-

wiecznego szkodnika. Potem zanieśli go na tylne podwórze—a była to praca na sześciu ludzi.

Zaledwie kamień usunięto, gdy wrócił dziedzie i od pierwszego rzutu oka poznał, co się stało. Gniew go ogarnął. Twierdził, że cały dwór już zmienił wygląd. Kto się odważył kamień usunąć? Więc to pani Gustawa wydała taki rozkaz! Ach, te kobiety nie mają Boga w sercu! Czyż ona nie wiedziała, że był przywiązany do tego kamienia?

Poszedł prosto po kamień, podniósł go i z tylnego podwórza sam zaniósł go na front, na miejsce, gdzie dotąd leżał i tu go rzucił. Czyn ten wywołał podziw całego Wermlandu.

Gdy niósł kamień przez podwórze, stała Maryanna w oknie jadalni i przypatrywała mu się. Nigdy przedtem nie wydawał się jej tak strasznym. On był jej panem, ten straszny człowiek o bezgranicznej sile. Nierozsądny, kapryśny pan, który nigdy nie uwzględniał nic, prócz własnych życzeń.

Byli przy śniadaniu, a ona stała właśnie z nożem w rękę i bezwiednie podniosła go w górę.

Wtem pani Gustawa chwyciła ją za łokieć, wołając:

— Maryanno!

— Co takiego, mamó?

— Wyglądałaś tak strasznie, żeś mnie przeraziła.

Maryanna długo się w nią wpatrywała. Była to drobna, zasuszona kobiecina z siwymi włosami, pomarszczona, chociaż miała dopiero lat pięćdziesiąt. Żyła, jak pies, nie licząc ciosów i razów. Była niemal zawsze pogodna, a mimo to, sprawiała smutne

wrażenie. Podobną była do drzewa, smaganego wichrami, które nie zaznało nigdy spokoju, aby mogło wyrosnąć. Nauczyła się też chodzić krzywemi drogami, kłamała, gdy trzeba było i udawała nieraz głupszą, aby tylko uniknąć wyrzutów. Była w zupełności dziełem swego męża.

— Mamó, czy bylibyście się smucili, gdyby ojciec umarł?—spytała Maryanna.

— Ach, Maryanno, ty gniewasz się jeszcze na ojca, wciąż się gniewasz. Dlaczego nie może się wszystko dobrze zakończyć, teraz, skoro masz innego narzeczonego?

— Cóż ja temu winna, mamó? Co ja winna, że się go boję? Alboż to mama nie wie, jaki on jest? Jakże ja go mogę kochać? Jest gwałtowny, rubaszny, dręczył cię tak, że postarzałaś się przed czasem. Dlaczego on ma być panem naszym? Przecież zachowuje się, jak waryat! Jak mogę go czcić i szanować? Nie jest wcale dobry, ani litościwy. Wiem, że jest silny i każdej chwili może nas zabić. Może nas wyrzucić z domu, kiedy zechce. Czyż za to mam go kochać?

Wtedy nagle pani Gustawowa zmieniła się do niepoznania. Odzyskała moc i odwagę i odezwała się stanowczym głosem:

— Strzeż się, Maryanno; zdaje mi się, że ojciec miał słuszność, gdy cię w zimie wydalil. Zobaczysz, że spotka cię za to kara. Musisz się nauczyć znosić bez nienawiści, cierpieć bez wywierania zemsty.

— Ach mamó, taka jestem nieszczęśliwa!

Wtem w sieni dał się słyszeć odgłos padającego ciała.

Nigdy się nie dowiedziały, czy Melchior Sinclair przez otwarte okno słyszał słowa Maryanny, albo może fizyczne nadwężenie spowodowało atak apoplektyczny. Gdy wybiegły, zastały go leżącego bez przytomności. Nie śmiały nigdy pytać o powód, a on nie zdradzał się z niczem. Maryanna nie miała odwagi dokończyć myśli, że zemściła się mimowoli.

Ale widok ojca leżącego na tych stopniach właśnie, na których stojącego nienawidziła, usunął z jej serca wszelką gorycz.

Niebawem odzyskał przytomność, a po kilku dniach zupełnego spokoju był znów tym samym, co dawniej—a przecież zgola innym.

Maryanna patrzyła na rodziców chodzących po ogrodzie ręka w rękę. Teraz zawsze tak chodzili. On odtąd sam nie chodził wcale, nigdzie nie wyjeżdżał. Gdy goście zjechali, tracił humor, jak wobec wszystkiego, co go dzieliło od żony. Nagle postarzał się. Nie mógł się zabrać do napisania listu. Zona musiała go wyręczyć. Nie postanowił nic na własną rękę, lecz pytał ją o wszystko i kazał tak robić, jak ona poleciła. A zawsze był łagodny i uprzejmy. Czuł sam, jak bardzo się zmienił i jak szczęśliwą z tego powodu była jego żona.

— Jej teraz dobrze na świecie—powiedział pewnego razu do Maryanny, wskazując na matkę.

— Ach, drogi Melchiorze! — zawołała — wiesz dobrze, że wolałabym cię widzieć zdrowym.

I rzeczywiście. Największą jej przyjemność sprawiało opowiadanie o silnym dziedzicu, jakim był za dawnych czasów. Opowiadała, jak potrafił żyć na

ciągłych hulankach, a lepiej to znosił, niż którykolwiek z rezydentów z Ekeby, jak interesy umiał załatwiać i najwięcej zarabiał właśnie wtedy, gdy ona myślała, że gotów z wszystkiego się wyzuć.

Maryanna jednak wiedziała, że mimo utyskiwania, szczęśliwa była. Oboje wyglądali staro, złamani przed czasem. Być wszystkim dla męża, matce to wystarczało. Maryannie zdawało się, że dziś może powiedzieć, jak się ich życie ułożyło. On będzie słabł coraz bardziej, jeden atak po drugim uczyni go coraz bardziej bezsilnym, a ona będzie przy nim, będzie go pielęgnowała, póki ich śmierć nie rozłączy. Koniec ten jednak mógłby się jeszcze ociągać, aby pani Gustawa czas jakiś użyła szczęścia.

— Tak powinno być—myślała córka—od życia tyle jej się jeszcze należy.

I z nią samą było lepiej. Już nie beznadziejna rozpacz skłaniała ją do wyjścia za mąż, aby zmienić pana. Jej zboliałe serce znalazło spokój. Nienawiść wstrząsnęła niem podobnie jak miłość, ale przestała już myśleć o tem, co przecierpiała. Musiała uznać, że stała się prawdziwszym, większym, bogatszym człowiekiem, niż dawniej, dlaczegoż więc miałyby pragnąć, aby to, co zaszło, nie było się stało? Czyż każde cierpienie prowadzi do dobrego? A może dałoby się wszystko zamienić w szczęście? Zaczęła za dobre uważać wszystko, co mogło się przyczynić do rozwinięcia w niej wyższego człowieka.—Dawne piosenki więc nie miały słuszności. Smutek nie jest jedyną, mającą trwałość. Zamierza obecnie wyjechać i poszukać miejsca, gdzie mogłaby być użyteczną. Gdyby ojciec jej pozostał był takim, jak dawniej,

nie byłby jej nigdy pozwolił na zerwanie zaręczyn. Teraz pani Gustawa łagodnie tę sprawę przeprowadziła. Maryanna otrzymała nawet pozwolenie na danie baronowi Adryanowi potrzebnej mu gotówki.

I o nim mogła teraz z przyjemnością myśleć—była przecież wolną. Swoją odwagą i pełnią życia przypominał jej zawsze Göste—pragnęła go widzieć wesołym. Niechby znowu był rycerzem słońca, który w całym blasku zjawił się u jej ojca. Chciała mu dostarczyć ziemi, którąby mógł orać i obsiewać, ile tylko dusza zapragnie, chciała dożyć chwili, gdy piękną narzeczoną powiedzie do ołtarza.

Takimi myślami przejęta, siada i pisze, zwracając mu słowo. Pisze słodkie, serdeczne słowa, rozumne, lecz pod żartobliwą formą, a jednak tak, żeby zrozumiał, iż ona myśli zupełnie poważnie.

Jeszcze pisała, gdy rozległ się tętent konia na gościńcu.

— Mój biedny rycerzu słońca, ostatni to już raz!—myśli.

Tuż wchodzi sam baron.

— Ależ Adryanie, ty tu!—woła, patrząc z przerażeniem na otaczający ją nieporządek.

Zmieszał się i bąknął jakieś usprawiedliwienie.

— Właśnie piszę do ciebie — powiada ona. — Masz, możesz od razu przeczytać!

Bierze list, a Maryanna przypatruje mu się, chciałaby widzieć twarz jego, rozblaskującą radością. Ale niewiele przeczytał, a okrył się purpurą — rzuca list na ziemię, depta go i klnie, że świat mógłby się zapaść.

Ona zaczyna drżeć lekko. Nie jest nowicyuszką

w studyowaniu miłości, ale dotąd nie rozumiała tego niedoświadczonego chłopca, tego wielkiego dziecka.

— Adryanie, kochany Adryanie—mówi—cóż za komedię grałeś przedemną? Chodź tu i opowiedz mi prawdę!

On zbliżył się i omal jej w uściskach i pieścizotach nie zadusił. Biedne chłopczyśko! co się nacierpiał, natęsknił!

Po chwili wyjrzała oknem. Pani Gustawa wciąż przechadzała się z mężem i mówili o kwiatach i ptakach, a tu siedzi ona i rozmawia o miłości.

— Życie dało nam obu poznać gorzką swoją powagę—pomyślała i uśmiechnęła się smutno.—Pocięchą dla nas, że każda ma duże dziecko, z którym się może bawić.

A jednak dobrze, iż może być kochaną. Miło jej było słyszeć o tej czarownej mocy, która z niej promieniuje, i o tem, jak się wstydził tego, co w pierwszej z nią rozmowie powiedział. Wtedy nie przypuszczał, że w niej tkwi taka siła. Żaden mężczyzna nie mógł się do niej zbliżyć, aby jej nie pokochał, ale ona go onieśmiała, taki się sobie wydawał marny.

Nie było to ani szczęście, ani nieszczęście, ale chciała spróbować iść w życie z tym człowiekiem.

Zaczynała rozumieć samą siebie i przyszły jej na myśl słowa dawnej piosenki o turkawce, ptaku tęsknoty: Ona nigdy nie pije czystej wody, zawsze ją naprzód zmąci nóżką—aby lepiej odpowiadała jej smutnemu usposobieniu. Tak i ona nie miała dostać się do źródła życia, aby z niego pić czyste, niezamącone szczęście. Smutkiem przysłonię—oto najlepsze dla niej życie.

* ŚMIERĆ WYBAWICIELKA.

Moja blada przyjaciółka, śmierć wybawicielka, weszła w dom kapitana Uggli w sierpniu, kiedy nastają nocy blade od księżycowego blasku. Nie śmiała jednak wejść wprost do gościnnego domu, gdyż wiedziała nazbyt dobrze, iż mało jest na świecie tych, którzy ją kochają.

Moja blada przyjaciółka, śmierć wybawicielka, ma serce mężne. Największą jej przyjemnością jest na ognistych kulach karabinowych przebiegać przeszczerzenie. Bierze ona syczący granat na grzbiet swój i śmieje się, gdy on pęknie i sypnie iskrami. Tańczy wśród szkieletów na cmentarzu, nie lęka się sal zarazonych w szpitalach, ale drży na progu zacnego człowieka, boi się wejść w dom ludzi dobrych. Nie lubi bowiem witaną być łzami, woli, aby ją przyjmowano z radością, ją, która oswobadza duchy z więzów bólu, uwalnia je od przytłaczającego je prochu ziemskiego, ją, która daje im możność spró-

bowania swobodnego, pięknego życia w wszechświecie.

Do starego gajku, za domem mieszkalnym leżącego, gdzie dziś jeszcze smukłe, białopienne brzozy współzawodniczą z sobą, aby swoim rzadkim wiechom liściastym na szczycie dostarczyć światła—tam wślizgnęła się śmierć. W tym gaju, który wówczas był młody i pelen zieloności, ukrywała się moja blada przyjaciółka przez dzień, a wieczorami stawała na skraju lasu, biała i blada z kosą, w której się odbijał księżyc.

O Erosie, ty byłeś bogiem, do którego wtedy ten gaj należał. Starzy ludzie umieją opowiadać, jak to niegdyś kochające się pary szukały twojej cizy. I dziś jeszcze, gdy przechodzę obok Bergi, zła na tę ciężką górę i duszący kurz gościńca, cieszę się na widok gajku o rzadkich, starych pniach, w których odzywają się echa wspomnień miłości pięknych, młodych ludzi.

Teraz jednak stała tam śmierć, a zwierzęta nocne widziały ją. Co wieczór słyszeli mieszkańcy Bergi wyjące wilki, które zapowiadały jej przyjście. Żmija przypelzła po żwirowej drodze aż do mieszkania. Ona nie wydaje głosu, ale rozumiano dobrze, iż przybyła jako wysłannik potężnej. A na jałonce pod oknami pani Uggli huknęła sowa — gdyż wszystko w naturze zna śmierć i drży przed nią.

Sędzia z Munkerud z żoną, którzy byli na kolacyi na probostwie w Bro, wracając około godziny drugiej w nocy poprzez Bergę, ujrzeli w oknie gościnnego pokoju światło. Widzieli zupełnie wyraźnie

żółty płomień i białą świecę i opowiadali o tem pełni zdumienia.

Wtedy śmiały się wesołe, młode panny z Bergi, mówiąc, że sędziostwo chyba widzieli stracha, gdyż im wyszły świece jeszcze w marcu, kapitan zaklinał się na wszystko, że od kilku tygodni nikt nie mieszka w pokoju gościnnym; ale żona kapitana zamilkła i zbladła, gdyż ta biała świeca o jasnym płomieniu zwykła się była ukazywać, gdy ktoś z jej rodziny miał zostać wybawiony przez śmierć wybawicielkę.

Wkrótce potem, pewnego ślicznego dnia sierpniowego powrócił Ferdynand ze swoich pomiarów w północnych lasach. Wrócił bladej, chory, z nieuleczalną chorobą piersiową, a matka, popatrzawszy tylko na niego, zrozumiała, że umrzeć musi.

Miał więc umrzeć ten dobry syn, który swoim rodzicom nie sprawił nigdy najmniejszej przykrości. Miał umrzeć młodzieniec pełen nadziei, porzucić rozkosze tego świata, piękną, ukochaną narzeczoną rozległe dobra, wielkie huty, które miały się stać, jego własnością.

Nakoniec blada moja przyjaciółka podczas zmiamy księżycy nabrała odwagi i udała się pewnej nocy do budynku mieszkalnego. Wiedziała, że mieszkańcy Bergi swobodnie zaglądają w oczy głodowi i nędzy, dlaczegożby jej nie mieli przyjąć z radością?

Cicho przemykała się po żwirowej ścieżce i ciemny cień rzuciła na murawę, na której w promieniach księżycy błyszczały kropelki rosy. Szła pochylona, wychudła, trzymając kosę ukrytą w fałdach płaszcza, a sowy i nietoperze latały naokół niej.

Tej nocy słyszała pani Ugglą, że ktoś zapukał w okno; podniosła się więc na łóżku i zapytała:

— Kto tam?

Starzy ludzie opowiadają, że śmierć odrzekła:

— Śmierć puka.

Wtedy ona wstała z łóżka, otworzyła okno i zobaczyła nietoperze i sowy latające przy blasku księżycy, lecz śmierci nie dojrzała.

— Chodź — rzekła półgłosem. — Przyjaciółko, wybawicielko, czemu się ociągałaś tak długo? Czeakałam i wzywałam cię. Chodź i zbaw mojego syna.

Wsunęła się zatem śmierć do domu, rada, jak zdetronizowany król, który w starości otrzymał napowrót koronę, zadowolona, jak dziecko wezwane do zabawy.

Nazajutrz siadła pani Ugglą przy łożu chorego syna i mówiła mu o szczęściu wyzwolonych duchów, o ich pięknem życiu.

— Pracuj — opowiadała — działają. Jacyż to artyści, synu, ach, co za artyści! Gdy do nich się dostaniesz, czem będziesz, powiedz? Czy jednym z rzeźbiarzy bez dłuta, którzy tworzą róże i lilie, czy może jednym z malarzy, którzy zorzę malują? A kiedy słońce w całej swojej piękności będzie zapadało, pomyślę, siedząc tu na ziemi: to jest dzieło Ferdynanda!

— Mój drogi synu, pomyśl, ile tam jest do widzenia, ile do zrobienia! Pomyśl o tych wszystkich nasionkach, które wiosną zbudzić trzeba do życia, o wszystkich wichrach, którym trzeba nadać kierunek, o snach, które trzeba zesłać na ziemię.

Pomyśl o dalekich podróżach po obszarze niebieskim od świata do świata.

— Pomyśl o mnie, gdy będziesz oglądał te wszystkie piękności! Twoja biedna matka nie widziała nic innego, prócz Wermlandu.

— A pewnego dnia staw się przed Bogiem i proś Go, by ci dał na własność jeden z małych światów, które wiszą w przestrzeni. Zapewne wysłucha twej prośby. Będzie to wtedy świat ciemny i zimny, pełen przepaści i złomów skalnych, nie będą na nim rosły żadne kwiaty, ni żyły zwierzęta. Ale ty pracować będziesz na gwieździe, którą ci Bóg darował. Dostarczysz jej światła, ciepła i powietrza, sprowadzisz tam rośliny, słowiki i jasno-okie gazele, popuszczasz strumienie w przepaście, spiętrzysz góry i obsadzisz równiny najpiękniejszymi, czerwonymi różami.

— A gdy umrę, Ferdynandzie, gdy dusza moja zdrzży przed długą podróżą i ulęknie się rozstania ze znanymi stronami, będziesz siedział i oczekiwał mnie w powozie zaprzężonym w rajskie ptaki, w powozie ze lśniącego złota.

— Będziesz z uśmiechem poganiał zaprzężone ptaszki. Nakoniec dojdziemy na najmniejszy ze światów, lecz najpiękniejszy, jaki widziałam. Tam zatrzymamy się przed złotym pałacem, a ty wwieziesz mnie w dom wiecznej radości.

— Będą tam spichrze pełne i księgozbiory. Las świerkowy nie rośnie tam tak, jak tu, w Berdze, gdzie zasłania cały, piękny świat, lecz będą mogła patrzeć na ogromne morze i słońcem zalane łąki, a tysiąclecia zamienią się w dni.

Wkrótce potem umarł Ferdynand, marząc o jasnym obrazach, uśmiechając się do piękności, które go czekają.

Moja blada przyjaciółka, śmierć wybawicielka, nigdy nie przeżyła czegoś równie pięknego. Wprawdzie śmiertelne łoże Ferdynanda Uggli otaczali płaczący ludzie, lecz chory uśmiechał się do postaci z kosą, która usiadła na jego łóżku, a matka słuchała jego śmiertelnego charczenia, jak słodkiej muzyki. Drżała ona, że śmierć może nie zdoła dokonać dzieła, a kiedy wszystko minęło, zabłysły łzy w jej oczach, ale były to łzy radości, które padały na martwe lica syna.

Nigdy nie przyjmowano z takimi honorami mojej bladej przyjaciółki, jak na pogrzebie Ferdynanda Uggli. Gdyby się była odważyła otwarcie zjawić, mogłaby była wystąpić we wspaniałym, złotem haftowanym płaszczu, ale ona stara, samotna, siedziała skulona, otulona swoim starym, czarnym płaszczem na murze cmentarnym i przypatrywała się pogrzebowi.

A był to rzadki pogrzeb. Słońce i jasne obłoczki czyniły dzień prześlicznym, długie rzędy stogów żyta zdobiły pola. Letnie jabłka w ogrodzie proboszcza połyskiwały jasne, niemal przezroczyste, a w ogródku kościelnego błyszczwały gwoździki i georginie.

Orszak dążył lipową aleją. Przed trumną kwiatami ozdobioną szły piękne dziatki, sypiąc kwiaty. Nie było żałobnych szat, ani kirów, gdyż matka życzyła sobie, aby syna, który umarł w pogodnym nastroju, odprowadzał w lepszy świat nie smutny orszak pogrzebowy, lecz wspaniały, weselny orszak.

Tuż za trumną postępowała Anna Stjaernhök, piękna narzeczona zmarłego. Na skroń włożyła wieńiec ślubny i welon, przywdziała długą, z lśniącego jedwabiu szatę weselną. Tak ubrana szła na zaślubiny ze zmarłym oblubieńcem. Za nią para za parą postępowali poważni, starzy panowie i panie. Piękne, dostojne panie wystąpiły w błyszczących spinkach i broszach, w mlecznych perłach i złotych bransoletach. Na głowach ich chwiały się drogie pióra wśród jedwabiów i koronek, a z ramion ich na jasne, jedwabne suknie spływały cienkie, jedwabne szale, otrzymane niegdyś jako ślubny podarek. Panowie także wystroili się w puszyste żaboty, fraki z wysokimi kołnierzami i złoconemi guzami, w kamizelki ze sztywnego brokatu lub haftowanego aksamitu. Był to orszak weselny, jak sobie życzyła pani z Bergi.

Ona sama zaś szła tuż obok Anny Stjaernhök, wsparta na ramieniu męża. Gdyby była posiadała suknię z połyskującego brokatu, byłaby ją przywdziała, gdyby była posiadała klejnoty i wspaniale przybrane głowy, byłaby je włożyła w dzień uroczystości syna. Ale że nic nie miała, prócz jedwabnej, czarnej sukni i żółtych koronek, w których występowała na tyłu uroczystościach, przywdziała je więc i dziś.

Chociaż goście wystąpili wspaniale i strojnie na pogrzebie, mimo to nie pozostało przecież żadne oko suchem, gdy przy słabym dźwięku dzwonów dążyli na cmentarz. Mężczyźni i kobiety płakali, nie tyle nad zmarłym, co nad samymi sobą. Oto idzie narzeczona, a tam niosą jej narzeczonego—oni sami są wspaniale przybrani, szczęśliwi, a gdzie na świecie

człowiek, któryby nie wiedział, że i jego czeka smutek, zgrzyzota, nieszczęście, zgon? Szli, płacząc na myśl, że nic na świecie nie może ich uchronić od złego.

Matka nie płakała—ona też była jedyną, która miała oczy suche.

Gdy obrzęd się skończył i grób przysypano, wrócili wszyscy powozami do siebie. Tylko pani Uggla i Anna Stjaernhök pozostały przy grobie, aby po raz ostatni pożegnać zmarłego. Matka usiadła na mogile, obok niej Anna Stjaernhök.

— Posłuchaj — zaczęła pani Uggla — modliłam się do Boga: ześlij śmierć wybawicielkę po mojego syna, pozwól, aby ona tego, którego najbardziej kochałam, zabrała w krainę wiecznego spokoju. Nie będę go oplakiwała, w stroju weselnym odprowadzę go do grobu, a czerwony krzak różany, bujnie kwitnący, który rośnie pod moją sypialnią, zasadzę na jego grobie. Stało się, syn mój umarł. Przyjęłam śmierć, jako przyjaciółkę, wzywałam ją najtkliwszemi wyrazami, roniłam łzy radości nad martwym licem syna mojego, a w jesieni, gdy liście opadać będą, zasadzę mu mój czerwony krzak róży. A ty, która obok mnie siedzisz, czy wiesz, dlaczego takie modły słałam do Boga?

Spojrzała na Annę, młoda dziewczyna siedziała cicha i blada. Może walczyła, aby zagłuszyć wewnętrznego głosu, który już teraz, na świeżej mogile zmarłego, zaczynał jej szeptać, że nakoniec jest wolną.

— Tyś temu winna! — powiedziała pani Uggla.

Na młodą dziewczynę padły te słowa, jak grom. Nic nie odpowiedziała.

— Anno, byłaś niegdyś dumna i zarozumiała, wtedy bawiłaś się moim synem, toś go chciała, toś znów odrzucała. Cóż miał robić? Znosił to, jak tyłu innych. Zresztą być może, iż wtedy on, tak jak my, na równi kochał ciebie i twój majątek. Ale wróciłaś, weszłaś w dom nasz, jako błogosławieństwo, byłaś słodką i łagodną, silną i dobrą. Otoczyłaś nas miłością, uczyniłaś nas tak szczęśliwymi, Anno—to też uwielbialiśmy cię.

— A jednak... jednak wolałabym była, żebyś nie była wróciła. Nie musiałabym była prosić Boga o skrócenie życia mojemu synowi. Około Bożego Narodzenia byłby zapomniał i przebolewał swoją stratę, ale gdy cię poznał taką, jaką jesteś teraz, nie miał dość siły.

— Bo, wiedz, Anno, że chociaż dziś włożyłaś ślubną szatę, aby odprowadzić zwłoki syna mojego, nie byłabyś w niej nigdy stanęła na ślubnym kobiercu, gdyż nie kochałaś go wcale.

— Widziałam dobrze, wróciłaś do nas z litości, chciałaś nam osłodzić ciężkie życie. Nie kochałaś go. Czy myślisz, że ja nie znam miłości, że nie wiem, gdzie istnieje, a gdzie jej brak? Pomyślałam wtedy: oby dobry Bóg zabrał mojego syna do siebie, zanim mu się otworzą oczy!

— Ach, gdybyś go była kochała! Obyś była raczej nigdy do nas nie zawitała dla osłody naszej, skoroś go nie mogła kochać! Znałam swój obowiązek: gdyby nie był umarł, musiałabym mu była powiedzieć, że go nie kochasz, że chcesz zostać jego

żoną, bo jesteś uosobieniem miłosierdzia. Musiałabym go była skłonić do zwrócenia ci wolności — a wtedy byłoby szczęście jego życia zniweczone. Widzisz, dlatego błagałam Boga o jego śmierć, abym nie musiała burzyć spokoju jego serca. Cieszyłam się widokiem jego zapadniętych policzków, cieszyłam się jego chrapliwym oddechem, drżałam, aby śmierci nie zabrakło siły.

Umilkła, czekając na odpowiedź. Ale Anna nie mogła jeszcze mówić — zbyt wiele głosów odzywało się w jej duszy.

Wtedy pełna rozpaczycy zawołała pani Uggla:

— Ach, jakże szczęśliwi są ci, którzy płakać mogą po swoich zmarłych! Ja z suchymi oczyma stać muszę nad grobem mego syna, muszę się cieszyć śmiercią jego. Jakaż jestem nieszczęśliwa!

Wtedy Anna przycisnęła ręce do piersi. Przypomniała się jej owa noc zimowa, gdy na swoją młodą miłość się zakłęła, że stanie się pociechą i ostoją temu biednemu człowiekowi — i zadrżała. A więc wszystko było daremne? jej ofiara była jedną z tych, które nie znajdują łaski w oczach Boga? Czyż wszystko dla niej ma się obracać w przekleństwo?

A gdyby złożyła wszystko w ofierze, czyż Bóg nie błogosławiłby jej dziełu i nie uczynił jej opieką, pociechą ludziom?

— Czegoż trzeba, byś mogła oplakiwać syna? — zapytała głośno.

— Trzeba, abym przestała wierzyć oczom swoim. Gdybym uwierzyć mogła, że kochasz mojego syna, oplakiwałabym zgon jego.

Wtedy podniosła się młoda dziewczyna z oczyma palającemu zapalem. Zerwała z głowy welon ślubny i rozłożyła go na grobie, zdjęła wieniec i koronę i położyła je na welonie.

— Widzisz, jak go kocham!—zawołała. — Składam mu w ofierze wianek i koronę. Oddaję się jemu. Nigdy nie będę należała do innego!

Na te słowa podniosła się i pani Uggła. Chwilę stała spokojnie, potem zaczęła drzeć całym ciałem, twarz ściągnęła się jej bólem, a nakoniec stoczyły się z jej oczu łzy—łzy bóleści.

Moja blada przyjaciółka, śmierć wybawicielka, wzdrygnęła się na widok tych łez — a więc ani tu nie przyjęto jej radośnie, nawet tu nie ucieszono się z jej przybycia!

Spuściła kaptur płaszcza na twarz, zsunęła się cicho z muru cmentarnego i zniknęła wśród stogów zboża na polu stojących.

SUSZA.

Jeżeli martwe rzeczy kochać mogą, jeżeli ziemia i woda odróżnić umieją przyjaciela od wroga, w takim razie chciałabym posiadać ich miłość. Chciałabym, aby zielona ziemia nie czuła dotkliwie moich ciężkich kroków, aby mi łatwo wybaczyła, że z mojej przyczyny rani ją plug i brona, aby się chętnie otwarła na przyjęcie mojego ciała. Chciałabym, aby woda, której lśniąca taflę mącą wiosła moje, okazywała mi taką samą cierpliwość, jak matka niespokojnemu dziecku, gdy spina się na jej kolana, nie myśląc o tem, że zgniecie jej odświętną, jedwabną suknię. Chciałabym zawrzeć przyjacielskie stosunki z przezroczystem powietrzem, drżącym ponad sinemi górami, z promieniem słonecznym i pięknemi gwiazdami. Częstokroć zdaje mi się, jakoby martwe rzeczy czuły i cierpiały z żywemi. Granica między niemi a nami nie jest tak wielka, jak przypuszczają ludzie. Czyż pył gościńca, wirujący w powietrzu, nie mógł być ongi miękkim,

pieszczonym włosem lub kochanemi, pracowitemi rękami? Alboż woda w kałuży nie mogła ongi płynąć jako krew przez bijące serce? Duch życia tkwi nawet w martwych rzeczach. Co też on słyszy, drzemiąc w śnie bez widzeń? Głos Boski słyszy, ale czy zwraca uwagę na ludzki?

Gdy niezgoda i nienawiść panują na ziemi, muszą też i martwe rzeczy bardziej cierpieć. Wtedy woda staje się dziką i chciwą łupu, jak rozbójnik; wtedy staje się pole skąpem, jak sknera. Ale biada temu, z czyjego powodu las wzdycha, a góry płaczą!

Był to nadzwyczajny rok, ten, w którym rezydenci rządili. Zda się, jak gdyby niepokój ludzi burzył spokój martwych rzeczy. Rezydenci stali się niejako bogami i wszystko owiali swoim duchem — duchem awanturniczości i wyuzdania.

Gdyby się mogło opowiedzieć wszystko, co się owego roku wydarzyło wśród ludzi, mieszkających nad brzegami jeziora Löb, zdumiałby się świat. Wtedy zbudziła się dawna miłość, ale i dawna nienawiść rozplomieniła się nanowo. Wtedy wszyscy zapłonęli żądzą piękną w życiu, tańca, żartów, zabaw i trunków imali się wszyscy. Wtedy ujawniło się wszystko, co tkwi w najgłębszem wnętrzu duszy ludzkiej!

Z Ekeby rozechodziła się zaraza niepokoju; rozpostarła się najpierw po hutach i dworach sąsiednich, pchając ludzi do grzechu i zbrodni i szła od wsi do wsi, od domu do domu. Gdzie występki tliły się w ukryciu, tam zapłonął jasnym płomieniem; gdzie między mężem a żoną zarysował się most, tam otwarła się przepaść; gdzie ukrywały się

wszystkim, dlatego milczą o złem, które im wyrzadził.

Podobna susza po świętym Janie w żadnej innej krainie nie byłaby takim nieszczęściem, jak w Wermlandzie. Tam jednak wiosna się opóźniła, trawa nie była zbyt wysoka i taką też pozostała. Żytu zabrakło pokarmu właśnie w czasie, gdy miało kwitnąć i ziarno tworzyć. Jare zboża, które wówczas najwięcej chleba dostarczały, miały cienkie, drobne kłoski na źdźbłach nie wyższych nad ćwierć łokcia. Późno zasiane rzepy nie chciały wcale rosnąć ani nawet kartofle nie mogły czerpać soków z tej skamieniałej ziemi.

W takich czasach trwoga opanowywała mieszkańców wysoko położonych chat, a z gór staczała się w doliny, między spokojniejszą ludność.

— Boża ręka szuka kogoś! — mawiali chłopci.

I każdy bił się w piersi, mówiąc: Czy może mnie? Ach, matko naturo, czy mnie? Czy deszcz może z niechęci ku mnie nie pada? Czyż zagniewana na mnie ziemia stała się twardą i suchą? A ten blask słoneczny dzień za dniem z przedziwną siłą spada z nieba bez chmurki, aby żary na mojej głowie zgromadzić? A jeżeli nie mnie, kogoż więc szuka ręka Boża?

Kiedy ziarenka żyta w małych kłoskach mdleją, kiedy kartofle nie mogą wyssać pożywienia z ziemi, kiedy bydło, z oczami zaczerwienionemi, oddychając z trudnością, otacza wyschłe studnie, kiedy trwoga o przyszłość ścisła serca, krążą dziwne rozmowy po okolicy.

— Taki dopust Boży nie przychodzi bez po-

wodu — mówią powszechnie. — Kogoż szuka dłoń Boża?

Było to pewnej niedzieli, w sierpniu. Nabozęństwo się skończyło. Małemi grupkami szli ludzie przez rozpalony gościniec. Naokół widzieli spalone lasy i zniszczone zbiory. Żyto stało w stogach, ale snopy były cienkie a kłoski drobne. Uprawa przez opalenie była tego roku łatwą, ale często też się zdarzało, że wysuszone lasy się zapalały. A co pożar oszczędził, zjadły owady, jodły straciły szpilki i stały nagie, jak las liściasty jesienią, liście brzoź wisiały powygryzane, sterczały w nich tylko żytki.

Stroskanym grupkom nie brakło materiału do rozmowy. Wielu opowiadało, jak to było w głodowych latach 1808 i 1809 lub w czasie ostrej zimy roku 1812, kiedy wróble zamarzały. Głód nie był im obcy, widzieli jego straszne oblicze. Wiedzieli, jak się to piecze chleb z kory a żywi krowy mchem. Ale nad wszystkim unosiło się jedno pytanie, widne było we wszystkich oczach, wisiało na wszystkich ustach.

— Kogoż, o Panie, szuka ręka Twoja? Srogie Panie, kto odmówił Ci ofiary z modlitwy i dobrych uczynków, że pozbawiasz nas nędznege chleba? Ciężka to była kara, że nie stało majorowej. Wobec obfitych zarobków, których za jej rządów dostarczały dowozy kolejowe, rąbanie drzewa i splawianie go, mieszkańcy od lat przywykli nie szukać pracy zdala od ojczyzny. Teraz musiała młodzież wędrować za zarobkiem, ale i tak dosyć ich w domu zostało na znoszenie głodu.

Z pośród posępnych mas, sunących się na z

chód i pnących się na wzgórze Broby wysunął się jakiś człowiek i przez chwilę stał na drodze, prowadzącej do mieszkania skałego proboszcza. Wtem podniósł z ziemi suchą gałąź i rzucił ją na ścieżkę wiodącą do plebanii.

— Suche, jako te gałęzie, były modlitwy, które stał do Boga—powiedział.

Najbliżej idący przystanął również. I on podjął suchą gałąź i rzucił ją obok tamtej.

— Jaki proboszcz, taka ofiara—rzekł.

Trzeci w szeregu poszedł za przykładem tamtych.

Był jako susza obecna. Chróst i słomę — oto wszystko, co nam zostawił.

Czwarty odezwał się:

— Oddajmy mu, co nam dał.

A piąty:

— Na hańbę wieczną rzucam mu to. Niechby uwiądl i usechl jako ta gałąź.

— Suchy pokarm dla proboszcza, który sprowadził na nas posuchę—rzekł szósty.

Ludzie idący za nimi widzą i słyszą, co tamci robią i mówią. Zda im się, że wreszcie usłyszeli odpowiedź na pytanie, które sobie wciąż zadawali.

— Dajcież mu, co mu się należy! On na nas sprowadził suszę!—wołał tłum.

I przystają wszyscy, każdy coś powie i rzuci suchą gałąź, zanim dalej ruszy.

Wkrótce stanął stos suchych gałęzi i słomy — na wzgórze hańby, usypane proboszczowi z Broby.

Była to jedyna zemsta parafii. Nik nie podniósł ręki na proboszcza, nie powiedział mu w oczy

nic przykrego. Zrozpaczone serca doznały poniekąd ulgi, gdy suche gałęzie padały na stos. Oni sami się nie mścili, wskazywali jeno winnego Panu Bogu.

— Jeżeliśmy ci nie służyli, jak należy, winien ten człowiek. Bądź litościw, Panie, i niechaj tylko on cierpi! Piętnujemy go wstydem i hańbą! Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego!

Niebawem weszło w zwyczaj, że każdy, kto przechodził obok plebanii, rzucał na wzgórze hańby suchą gałąź.

— Niechaj Bóg i ludzie widzą — myślał każdy przechodzień — że i ja gardzę tym, którą ściągnął na nas gniew boski.

Wkrótce dostrzegł stary sknera stos gałęzi na swojej drodze. Kazał go uprzątnąć — mówiono, że palił nim w piecu. Nazajutrz w tem samym miejscu znalazł się takiż sam stos, a gdy i ten kazał sprzątnąć, narzucono nowy. Suche gałęzie leżąc, zdawały się mówić:

— Hańba, hańba proboszczowi z Broby!

Było to podczas gorących, suchych dni kankuły. Ciężkie od dymu, przesycone zgorzelizną, unosiło się powietrze nad okolicą. Myśli mąciły się w rozpalonych mózgach. Proboszcz z Broby stał się żyym duchem. Zdało się wieśniakom, że stary skąpiec strzegł upustów niebieskich.

Wkrótce zrozumiał proboszcz usposobienie parafian. Zrozumiał, że jego wskazywano jako sprawcę nieszczęścia. Bóg, zgniewany na niego, pozwolił ginąć ziemi. Usiłował śmiać się z nich i z ich suchych gałęzi, po upływie tygodnia jednak przestał się śmiać. Co za dzieciństwo! Tłómaczył sobie, że

długo tłumiona nienawiść szukała sposobności wyładowania się. Ha, nie był przyzwyczajony do miłości!

Ale mimo to nie złagodniał. Po odjeździe dawnej przyjaciółki może i chciałby się zmienić — lecz teraz nie mógł. Nie chciał być zmuszonym.

Z czasem jednak ten suchy stos począł mu dokuczać. Wciąż miał go na myśli, a ogólne mniemanie, że on jest sprawcą nieszczęścia, poczęło i w nim kiełkować. Przypatrywał się stosowi i liczył gałęzie codziennie przybywające. Myśl o nim zaprzętała go całkowicie, wykluczając wszelkie inne. Pokonał go stos suchych gałęzi.

Z każdym dniem przyznawał więcej słuszności swoim parafianom. Schudł i w przeciągu kilku dni stał się starcem. Poczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, aż się rozchorował. Bo czuł, że wszystko to jest w związku z owym stosem. Zdawało mu się, że umilkłyby wyrzuty sumienia, że ciężar wieku spadłby z niego, gdyby tylko tego stosu nie było.

Nareszcie całymi dniami przesiadywał wpatrzony w niego. Ale ludzie byli bezlitośni, w nocy przyrzucali nowych gałęzi.

Pewnego razu przejeżdżał tą drogą Gösta Berling. Proboszcz Broby siedział przy drodze schorzały, posiwiał. Wybierał on suche gałęzie, układał je w stosy i szeregi i bawił się nimi, jak gdyby wróciły mu lata dzieciństwa. Goście żal go było szczerze.

— Co proboszcz tu robi?—zapytał, szybko wyskakując z bryczki.

— At, siedzę i wybieram gałęzie. Właściwie nic nie robię.

— Trzeba do domu iść, księżu proboszczu, a nie lykąć kurz gościńca.

— Tu mi jednak najlepiej.

Więc Gösta przysiadł się do niego.

— Nie taka to łatwa rzecz być proboszczem—odzywa się po chwili.

— W dolinach, gdzie ludzie są, jakoś przecie żyć można—rzekł proboszcz.—O wiele gorzej jest tu, na górze.

Gösta rozumie dobrze, co on ma na myśli. Zna parafie północnego Wermlandu, gdzie miejscami nawet mieszkań brak dla proboszczów, zna wielkie powiaty, gdzie Finnowie mieszkają w kurnych chatach, te okolice z kilku ludźmi zaledwie na każdą milę, gdzie proboszcz jest jedynym wykształconym człowiekiem. W takiej właśnie parafii proboszcz z Broby spędził lat dwadzieścia.

— Tam nas posyłają, gdy jesteśmy młodzi — mówił Gösta. — Niemożliwe jest wyżyć tam — i na całe życie człowiek staje się zepsutym. Niejeden tam zmarniał.

— Samotność nas tam psuje—dodał proboszcz.

— Przybywamy—wpadł mu z ogniem w słowo Gösta—mówimy, upominamy, wierzymy, iż wszystko da się zrobić, że parafianie wkrótce wejdą na lepszą drogę.

— Tak! Tak!

— Lecz spostrzegamy niebawem, że słowa nie

mają znaczenia. Nędza nam przeszkadza. Nędza tamuje wszelką poprawę.

— Tak, nędza — powtarza proboszcz — nędza i mnie życie zepsuła.

— Młody proboszcz — mówił Gösta dalej — przybywa tam, biedny, jak oni sami. Zwraca się do pijaka i mówi mu: Przestań pić!

— Na to odpowiada pijanica — ciągnie dalej proboszcz:—daj mi coś lepszego od wódki. Wódka jest mi futrem w zimie, a chłodzi mnie latem. Wódka jest mi ciepłą izbą i miękkim łóżem. Daj mi to wszystko, a pić przestanę...

— A dalej—przerywa mu Gösta—rzuć proboszcz taki do złodzieja: Nie powinienes kraść! do gwałtownika: Nie powinienes bić żony! do zabobnego: Powinienes wierzyć w Boga, a nie w strachy i duchy! Złodziej odpowiada: Daj mi chleba! a gwałtownik: Uczyni mnie bogatym, a zaniechamy swarów—a zabobny: Naucz mnie czegoś lepszego! Jakże im jednak dopomóż bez pieniędzy?

— To prawda! każde słowo to święta prawda!—woła proboszcz.

— W Boga wierzą, jednak więcej w dyabła, krasnoludki i w złe duchy. Wszystko zboże idzie na wódkę. Nikt nie spodziewa się końca nędzy. Troska uczyniła język kobiet dokuczliwym. Niesna-ski domowe wypędzają mężów do szynku. Około roli i bydła robić nie umieją. Boją się pana, a śmieją się z proboszcza. Cóż z takimi począć? Co im z kazalnicy powiedziałem, tego nie zrozumieli. Gdy ich chciałem czego nauczyć, nie wierzyli mi. I nikogo,

kogoby się poradzić, nikogo, ktoby dopomógł, dał otuchy.

— Są księża, którzy potrafili wytrwać — mówi Gösta.—Wielu z nich znalazło łaskę u Boga i wrócili z takich miejsc niezłamani. Znaleźli w sobie dość siły, potrafili znieść samotność, ubóstwo, beznadziejność. Dokazali tyle, ile się dało i nie rozpaczażyli. Zawsze byli tacy ludzie i dziś się zdarzają. Uważam ich za bohaterów, czeżę ich, ale jabym tego nie potrafił.

— Ja też nie potrafiłem—przyznał proboszcz.

— Taki proboszcz — mówi Gösta w zamyśleniu—postanawia zostać bogatym człowiekiem... nadzwyczaj bogatym... bo biedny człowiek nie pokona zła. Zaczyna tedy gromadzić pieniądze.

— Gdyby nie składał pieniędzy, zacząłby pić — odezwwał się starzec —tyle nędzy widzi naokół siebie.

— Musi udawać bezlitosnego, chcąc coś złożyć. Początkowo udaje tylko, a później ze zwyczaju staje się takim.

— Musi być surowym dla siebie i dla drugich—mówi dalej Gösta. — Ciężka to rzecz zbierać pieniądze. Musi się znosić nienawiść i wzdargę, musi się cierpieć głód i zimno, serce musi się hartować... w końcu zapomina się, dlaczego człowiek zaczął oszczędzać.

Proboszcz z Broby patrzy na niego podejrzliwie, czy Gösta nie kpi z niego. Ale on mówił zupełnie poważnie, z ogniem, jak gdyby chodziło o niego samego.

— Tak ze mną było — szepcze starzec.

— Ale Bóg czuwa nad nim — mówi Gösta da-

lej. —Kiedy już dosyć naskładał, budzi w nim myśli młodzieńcze, daje mu znak, że lud go potrzebuje.

— A jeżeli proboszcz nie usłucha wezwania, Gösto?

— Nie, nie mógłby się oprzeć—odpowiada Gösta rozplomieniony.—Myśl o ciepłych chatach, do których wystawienia pomógłby biedakom, jest zbyt ponętną.

Proboszcz spuścił oczy w dół na budowle, które wystawił z suchych gałązek. Im dłużej rozmawia z Göstą, tembardziej przekonywa się, że on ma słuszność. Zawsze zbierał przecież z myślą jakiegoś dobrego celu. Czepia się tej myśli i—naturalnie, że taki miał plan.

— Dlaczego jednak tych chat nie stawia? — pyta nieśmiało.

— Wstydy się. Nie chce, aby przypuszczano, iż robi tylko ze strachu przed ludźmi to, co zamierzał oddawna.

— Nie może znieść myśli, że go chcą zmusić, oto przyczyna.

— Ale przecież może działać w ukryciu. Tego roku pomoc jest bardzo potrzebna. Może się postarać o kogoś, kto będzie rozdzielał jego dary. Ja się podejmę!—woła Gösta, a oczy jego palą się już do czynu.—Tego roku tysiące ludu otrzyma chleb od tego, którego obrzucają kłatwami.

— Niech tak będzie, Gösto.

Zapał ich ogarnął, ich, którzy nie umieli wykonywać obowiązków, wziętych na siebie. Młodzieńcza ochota służenia Bogu i ludziom zbudziła się w nich nanowo. Nurzali się w planach dobro-

dziejstw, które zamierzali wykonać. Gösta miał być pośrednikiem proboszcza.

— Przedewszystkiem należy dostarczyć chleba—rzekł proboszcz.

— I nauczycieli. Sprowadzimy geometrę, który wydzieli ziemię i grunta. A potem nauczymy ludzi uprawiać rolę i hodować bydło,

— Wytknijmy nowe drogi, zabudujemy wieś nanowo.

— Założymy śluzy na rzece, i w ten sposób otworzymy drogę między jeziorami Löf a Wenern.

— Bogactwo naszych lasów wzrośnie, gdy droga do morza będzie otwarta.

— Przekleństwa zmieniają się w błogosławieństwa!—woła Gösta.

Proboszcz wstał. W oczach swoich wzajemnie czytają gorący zapal. Wtem spojrzenia ich padają na wzgórek hańby.

— Gösto — odezwał się starzec — wszystko to wymaga sił młodego człowieka, a ja jestem grobu blizki. Widzisz, co mi życie odbiera.

— Usunąć to!

— W jakim sposobie, Gösto?

Gösta stanął tuż przed nim, spojrzał mu bystro w oczy i rzekł:

— Prosić o deszcz! Tej niedzieli ksiądz proboszcz ma przecież wygłosić kazanie—zakończyć więc modlitwą o deszcz.

Przerażony cofnął się proboszcz.

— Jeżeli ksiądz proboszcz rzeczywiście chce to wszystko zrobić, o czem mówiliśmy przed chwilą. Jeżeli nie ksiądz jest powodem suszy, jeżeli nie

chciał Najwyższemu służyć srogością swoją—to niech ksiądz proboszcz modli się o deszcz. Jeżeli Bóg modlitwy wysłucha, to będzie najlepszy znak, czy Bóg tego samego chce, co my.

Gdy Gösta zjeżdżał z góry, dziwił się sam sobie i natchnieniu, które go ogarnęło. Przecież takie życie mogłoby być piękne! — pomyślał. Tak, tylko nie dla niego. O jego pracy tam, w górze, nie chcą nic wiedzieć.

W kościele Broby kazanie się skończyło, odprawiono zwykle modły. Proboszcz zamierzał opuścić kazalnicę, lecz zawahał się. Nakoniec padł na kolana i zaczął błagać o deszcz.

Modlił się, jak człowiek w najwyższej rozpacz, niewiele słowami, bez związku.

— Jeżeli moje grzechy wywołały gniew Twój, ukarż mnie samego. Jeżeli masz litość, o Boże miłosierdzia, spuść deszcz! Zdejmij ze mnie piętno hańby. Spuść deszcz na błagania moje. Niechaj deszcz spadnie na rolę biedaka. Daj chleba dzieciom Twoim!

Dzień był gorący, upał nie do wytrzymania, to też parafianie siedzieli w kościele pół drzemiac, ale na dźwięk tych urywanych słów, tej rozpacz, ocknęli się.

— Jeżeli jest jeszcze dla mnie droga do odwrotu, zeslij deszcz.

Umilkł. Drzwi były otwarte. Przez nie dał się słyszeć świst wichru, który od pół pędził, zakręcił

się pod kościołem i cisnął do środka tumanem kurzu, chróstu i słomy.

Proboszcz nie mógł więcej mówić; chwiejnym krokiem zeszedł z kazalnicy.

Ludzie osłupieli.

Czyżby to już była odpowiedź?

A wichur ów był tylko przedślannikiem nawalnicy, która zbliżała się z niezmierną szybkością. Gdy śpiew przebrzmiał i proboszcz stanął u ołtarza, przelaływały już błyskawice i grzmot huczał potężnie, głusząc dźwięk słów jego. Gdy organista przegrał ostatnią strofę, były już pierwsze krople deszczu w zielone szyby, a ludzie tłumnie wybiegli patrzeć na deszcz. Nie dość im jednak było patrzeć, lecz stali na nim, moknąc i płakali i śmiali się z radości. Tacy byli nieszczęśliwi, tacy biedni! Ale Pan Bóg jest dobry, zlitował się nad nimi i zesłał im deszcz. Co za radość! jakaż radość!

Proboszcz z Broby był jedynym, który na deszcz nie wyszedł. Klęczał u ołtarza i nie powstał więcej. Radość okazała się za wielką, na siły jego — zabiła go radość.

MATKA.

Jedno mogło być tylko co do tego zdanie: dziecko musiało mieć ojca.

Dziecko to było najmarniejszem stworzonkiem, o jakim tylko pomyśleć można: małe, czerwone, pomarszczone. Mała ta istotka nawet nie krzyczała, chociaż od chwili urodzenia miewała konwulsye; biedactwo przyszło na świat o sześć, czy siedm tygodni wcześniej, niż powinno i dlatego nie mogło sobie znaleźć miejsca na ziemi.

Ważyło tak mało, że i wspominać nie warto ile. Trzeba je było owijać watą, nie chciało ani spać, ani jeść... ale żyło. Co je przy życiu trzymało, nie wiadomo, ale żyło.

Urodziło się w małej chatce wieśniaczej, na wschód od rzeki Klar. Matka dziecka z początkiem czerwca przybyła tam, prosząc o służbę. Powiedziała, że zgrzeszyła, a matka była tak surową, iż musiała uciec z domu. Mówiła, że się nazywa Elżbieta Carlsson, ale nie chciała powiedzieć, z kąd pochodzi,

z obawy, aby nie zawiadomili rodziców, którzyby ją na śmierć zadreńczyli. Za służbę nie żądała nic, prócz strawy i dachu nad głową. Utrzymywała, że może tkuć, prząć lub pasać krowy, co zechcą zrzęsta. Gdyby chcieli, zapłaci im za utrzymanie.

Przybyła boso, z bucikami pod pachą, ręce miała zgrubiałe, mówiła językiem tej okolicy i ubrana była po wiejsku — więc jej uwierzono.

Gospodarzowi wydawała się za słaba do roboty, ale skoro przecież gdzieś musi się przytulić, pozwolił jej zostać.

Było w niej coś, co sprawiało, że wszyscy obchodzili się z nią dobrze. Dostała się między dobrych ludzi, poważnych, cichych. Gospodyni cenila ją nawet od chwili, gdy się okazało, że umie tkuć drelich. Tkąła też całymi dniami.

Nikomu nie przyszło na myśl, że należy jej oszczędzać; przez cały czas musiała pracować, jak wiejska dziewczyna. Nie czuła się jednak zbyt nie szczęśliwą: życie wśród wieśniaków podobało się jej, chociaż musiała się wyrzec wygód, do których przywykła. Im się wszystko zdawało rzeczą zupełnie naturalną. Ich wszystkie myśli zajmowała praca; dni upływały tu tak jednostajnie, że można się było przeliczyć i sądzić, że się jest wśród tygodnia, gdy to właśnie mogła być niedziela. Pewnego dnia, pod koniec sierpnia, przez cały czas żęli owies, a matka dziecka poszła wraz z innymi w pole, wiązać snopy. Nadwyrężyła się przy tej pracy i dziecko przyszło na świat za wcześnie.

Teraz stała gospodyni z niemowlęciem u ogniska i grzała je, gdyż biedactwo zmarło w letni

dzień! Matka, leżąc obok w komorze, nasłuchiwała, co mówią o jej dziecku. Wyobrażała sobie, jak parobcy i dziewczki podchodzą i oglądają je.

— To ci maleńkie! dziwili się, a potem wszyscy bez wyjątku dodawali: — Biedne macieństwo bez ojca!

Któs dziwił się, że dziecko takie czerwone i pomarszczone, jakiś głos odpowiedział, że wszystkie noworodki tak wyglądają.

Nie skarżyli się na krzyk dziecka, byli przekonani, że dziecko powinno krzyczeć, a w końcu, gdy dobrze wszystko rozważyli, wydawało im się wcale rozwinięte na ten czas. — Wszystko byłoby w porządku, gdyby tylko miało ojca — dodawali.

Matka leżała, słuchała i nagle zrozumiała, że sprawa jest poważna.

Miała plan z góry ułożony: przez pierwszy rok pozostanie w chacie, później wynajmie sobie osobną izbę i będzie się utrzymywała z tkactwa. Sama za pracuje na potrzeby dziecka. Zdawało się jej, że może z dziecka wyrosnie lepszy człowiek, jeżeli go ona sama wychowa, niż gdyby niem kierował ojciec, pyszalek.

Teraz jednak, skoro dziecko przyszło na świat, nie mogła tak się zapatrywać na sprawę. Przyszło jej opamiętanie, że działa samolubnie. Dziecko musi mieć ojca! — mówiła sobie w duchu.

Gdyby nie było takie nędzne, gdyby mogło spać i jeść, jak inne dzieci, gdyby nie zwieszało tak główki na jedną stronę, gdyby nie było tak blizkie śmierci, ilekroć miało konwulsje, nie byłaby ta kwe-

stya tak niezwyklej wagi. To małe, słabiuchne stworzonko musiało mieć ojca.

Nielatwa to była rzecz zdecydować się, ale zdecydować się musiała i to natychmiast. Dziecko miało trzy dni, a chłopci Wermlandu nigdy dłużej z chrztem nie zwlekają. Pod jakimże nazwiskiem wpisze się dziecko w księgę? i co ma proboszcz wiedzieć o matce dziecka? Krzywdą dla niego byłoby podać, że nie ma ojca. Przyszło wprawdzie na ten padół płaczu, ale zdawało się mieć ochotę porzucić go coprędzej. Możeby lepiej się rozwijało, gdyby miało ojca, a jeżeli wyrosnąć ma na słabego, chorowitego mężczyznę, jak może na siebie brać odpowiedzialność pozbawiania go korzyści, któreby mu przypadły w udziale z urodzenia i majątku?

Wiedziała ona dobrze, iż przyjście na świat dziecka jest wydarzeniem wielkiem i radosnem. Teraz zdawało się jej, że przykre musi być jej dziecku to powszechne współczucie. Wolałaby je widzieć w jedwabiach i koronkach, jak przystało hrabiowskiemu synowi. Chciałaby go widzieć otoczonym blaskiem i przepychem, należnym hrabiowskiemu synowi. Tak dziecko musiało mieć ojca.

Przytem zaczęło się jej przywidywać, że spełnia zbyt wielką niesprawiedliwość względem ojca. Czyż ma prawo zatrzymać je wyłącznie dla siebie? Nie, nie ma prawa. Jak może przywłaszczać sobie to drogie, małe stworzonko, którego wartość nikt nie może ocenić należycie? Niesłuszne byłoby takie postępowanie.

Wrócić do ojca nie chciała dziecka matka — bała się, że ją tam śmierć czeka. Ale mały pozostawał

stawał w większem niebezpieczeństwie. Każdej chwili mógł umrzeć, a nie był ochrzczony.

To, co ją z domu wyгнаło, wielki grzech, który gorzał w jej sercu — znikł. Teraz nie odczuwała innej miłości, prócz miłości do maleństwa nie mającego ojca.

Wezwwała tedy gospodarzy i powiedziała im wszystko. Chłop pojechał do Borgu donieść hrabiemu Dohnie, że jego żona żyje i wydała na świat syna.

Późnym wieczorem powrócił gospodarz do domu. Nie zastał hrabiego, który wyjechał, ale był u proboszcza z Svartsjö i mówił z nim w tej sprawie. Wtedy dowiedziała się hrabina, że małżeństwo jej zostało unieważnione i że nie ma już męża.

Proboszcz napisał do niej bardzo serdecznie i zaprosił ją do siebie na mieszkanie. Przysłał jej również list jej ojca do hrabiego. Może właśnie ten list, w którym ojciec jej, nie wiedząc o niczem, prosi, aby hrabia przyspieszył legalizację ich ślubu, wskazał hrabiemu Dohnie drogę pozbycia się swojej żony.

Można sobie wyobrazić, że matka dziecka zapalała gniewem, ale większy jeszcze był jej ból, którego doświadczyła, słuchając opowiadania chłopca. Matka zdrowego, silnego dziecka mogłaby tę wiadomość przyjąć z pogardą i dumną być, że może posiadać dziecko wyłącznie dla siebie. Ale matka tego słabiutkiego, nędznego stworzonka miała uczucie, jak gdyby gotowa była zabić męża.

Przez całą noc sen od niej uciekał. Dziecko

musi mieć ojca! — około tego krążyły wszystkie jej myśli.

Następnego ranka musiał gospodarz na jej żądanie pojechać do Ekeby i sprowadzić Göstę Berlinga.

Gösta zadawał mnóstwo pytań milczącemu człowiekowi, lecz niewiele się dowiedział. Tak, hrabina przez całe lato była u niego w domu i pracowała. Teraz ma dziecko. Małe jest, słabe, ale matka przyjdzie wkrótce do zdrowia.

Gösta zapytał, czy hrabina wie, że małżeństwo jej zostało unieważnione?

Tak, teraz już wie, dowiedziała się o tem wczoraj.

Przez całą drogę Gösta miał naprzemian to gorączkę, to dreszcze zimne. Czego chce od niego? Dlaczego posłała po niego?

Przebiegł myślą minione lato, jak je spędzał tu, nad jeziorem Lof — na zabawie, tańcach, przejażdżkach, a tymczasem ona ciężko pracowała i cierpiała. Nigdy nie przypuszczał możliwości spotkania się z nią w tem życiu. Ach, gdyby był miał nadzieję! Byłby jako lepszy człowiek stanął teraz przed nią. Cóż ma za sobą obecnie? Nic, prócz zwykłych szaleństw.

Około ósmej wieczorem dotarł na miejsce i natychmiast zaprowadzono go do chorej. W pokoju panował półmrok, z trudem ją dojrzał na łóżku.

Przypomnijmy sobie, że ta, której biała twarz jaśniała w półcieniu, była dla niego zawsze czemś najwyższem i najczystsze, co znał, najpiękniejszą duszą, która przybrała na się ziemskie kształty. Gdyż znowu odczuł błogosławieństwo jej bliskości, uczuwał

potrzebę dziękowania jej na kolanach za łaskę ukazania mu się, ale był tak wzruszony, że nie mógł się zdobyć na słowo, ani na czyn.

— Droga hrabino Elżbieto! — wyjąkał za ledwie.

— Dobry wieczór, Gösto!

Podawała mu rękę, która znowu stała się biała i przezroczyista. Leżała potem w milczeniu, gdy on walczył ze wzruszeniem.

Ona nie doznała wstrząśnienia na widok Gösty. Dziwiło ją tylko, że on zdawał się głównie o niej myśleć, gdy przecież powinien rozumieć, że obecnie wyłącznie chodzi o dziecko, które musi mieć ojca.

— Gösto — zaczęła łagodnie — teraz musisz mi oddać przysługę, którą mi niegdyś przyrzekałeś. Wiesz, że mąż mnie porzucił i dziecko nie ma ojca?

— Tak, pani hrabino, ale rzecz da się jeszcze zmienić. Teraz, skoro dziecko przyszło na świat, można zmusić hrabiego do ulegalizowania związku. Może pani polegać na mnie, dopomogę w przeprowadzeniu sprawy.

Matka dziecka uśmiechnęła się.

— Czy myślisz, że pragnę się narzucić hrabiemu Dohnie?

Krew uderzyła Göście do głowy. Czegoż ona zechce? Czego zażąda od niego?

— Chodź tu, Gösto — rzekła i podała mu znowu rękę. — Nie gniewaj się o to, co powiem... ale widzisz... myślałam, że ty, który... który...

— Który jestem wypędzonym proboszczem, pijanicą, rezydentem, mordercą Ebby Dohna — znam całą litanie moich zasług.

— Już się gniewasz, Gösto.

— Wolalbym, żebyśmy o tem więcej nie mówili.

Ale matka dziecka mimo to ciągnęła dalej...

— Niejedna, Gösto, zostałaaby twoją żoną z miłości, ale ze mną inna sprawa. Gdybym cię kochała, nie miałabym odwagi tak do ciebie mówić, jak czynię obecnie. Dla siebie samej nie prosiłabym cię o coś podobnego, Gösto, ale sam przyznasz, że dziecko musi mieć ojca. Pojmujesz, o co cię chcę prosić? Jest to w każdym razie poniżające dla ciebie, skoro jestem niezamężna, a mam dziecko. Nie myślałam, że uczynisz to dlatego, że jesteś gorszy od innych, chociaż -- prawda, i o tem myślałam. Przedewszystkiem jednak myślałam, że zrobisz to, bo jesteś taki dobry, Gösto, bo jesteś bohaterem i umiesz się poświęcać. Ale może za wiele żądam? Mężczyzna nie może tak wiele zrobić, co? Jeżeli mną zanadto pogardzasz, jeżeli ci wstrętne jest nazywać się ojcem cudzego dziecka, powiedz wprost. Nie będę się gniewała na ciebie. Uznaję, że za wiele wymagam, ale widzisz, Gösto, dziecko jest chore. Taka przykra rzecz, iż przy chrzcie jego nie można nazwać męża jego matki.

Sluchając jej, doświadczał tego samego uczucia, co owego wiosennego dnia, kiedy ją wysadził na ląd i zostawił jej losowi. Teraz znowu musi jej dopomóc w burzeniu całej jej przyszłości. On musi to uczynić, właśnie on, który ją kocha.

— Uczynię wszystko, co pani hrabina rozkaże!—odezwał się.

Nazajutrz rozmówił się z proboszczem w Bro, gdyż Svarstjõ jest parafią podległą Bro i tam ogło-

szone zapowiedzi. Dobry staruszek wzruszył się szczerze i przyrzekł całą odpowiedzialność i załatwienie wszelkich formalności wziąć na siebie.

— Prawda — rzekł — musisz jej podać rękę, Gösto, musisz to uczynić. Inaczej gotowaby postradać zmysły, bo jej się zdaje, że wyrządziła krzywdę dziecku, nie mogąc podać jego ojca. A ona ma bardzo delikatne sumienie!

— Ale ja wiem, że ją unieszczęśliwię!—zawołał Gösta.

— Nie mów tego, Gösto! Powinieneś się teraz ustać, skoro masz myśleć o żonie i dziecku.

Proboszcz pojechał do Svarstjõ omówić tę sprawę z tamtejszym plebanem i wójtem. Rezultat tych wszystkich konferencyi był taki, że następnej niedzieli ogłoszono w kościele w Svartsjõ zapowiedzi Gösty Berlinga i Elżbiety Tum.

Potem z największemi ostrożnościami przewieziono matkę dziecka do Ekeby, gdzie ochrzczono małe.

Proboszcz zwracał jej jeszcze uwagę, że może się cofnąć, jeżeli się rozmyśliła... Zanim poślubi człowieka takiego, jak Gösta Berling, powinna najpierw poradzić się ojca.

Gdy szły trzecie zapowiedzi, była już matka dziecka zupełnie zdrowa. Po południu przyjechał proboszcz i związał ich stulą. Nikt jednak nie uważał tego za uroczystość zaślubin... nie było gości, dano tylko dziecku ojca — oto wszystko.

Matka promieniała radością, jak gdyby dopięła upragnionego celu. Nowożeniec zaś był smutny. Nie mógł się pozbyć myśli, że ona związkem z nim

psuje sobie całą przyszłość, a przytem z przerażeniem spostrzegał, że dla niej nie istniał weale. Wszystkie jej myśli krążyły około dziecka.

W kilka dni później na matkę i ojca dziecięcia spadła żaloba. W napadzie konwulsyi skończyło biedactwo.

Niejednemu się zdawało, że smutek matki nie jest tak ciężki i głęboki, jak się spodziewano. Unosił się nad nią jak gdyby odblask tryumfu, jak gdyby radowała się, że dla dziecka poświęciła całą przyszłość. Myślała widocznie, że jeżeli małżeństwo jej dostanie się między aniołki, pamiętać będzie, iż na ziemi miało matkę, która je kochała.

Wszystko odbyło się cicho, bez rozgłosu. Kiedy ogłaszano zapowiedzi Gösty Berlinga i Elżbiety Tum w kościele w Svartsjö, przeważna część ludzi nie wiedziała nawet, kim jest narzeczona. Księża i obywatelstwo, wtajemniczeni w sprawę, mówili o niej jak najmniej. Zdawali się lękać, aby ten lub ów, który stracił wiarę w sumienie czyste, nie tłómaczył sobie złe zachowania się młodej kobiety. Nie chciano, aby ktoś mógł powiedzieć: Widzieliście, przecież, coś w tem prawdy było; nie mogła pokonać miłości do Gösty i wydała się za niego po bardzo szlachetnym pozorem!

Bo starzy ludzie zachowywali się z dziwną delikatnością wobec tej kobiety. Nie mogli znieść, aby o niej źle mówiono. Z trudnością przyznawali, że zblądziła. Nie chcieli uznać, aby ta dusza, tak stroniąca od złego, splamiła się grzechem.

Inne, równie wielkie wydarzenie, które zaszło w tym samym czasie, przyczyniło się do tego, że przestano mówić o małżeństwie Gösty Berlinga. Majora Samzeliusa spotkało nieszczęście. Stawał się on coraz dziwniejszym i coraz więcej stronił od ludzi. Żył niemal wyłącznie w towarzystwie zwierząt i w Sjö zgromadził sobie cały zwierzyniec. A był niebezpieczny nawet, gdyż zawsze nosił przy sobie nabitą strzelbę i strzelał wciąż, nie patrząc nawet gdzie. Pewnego razu postrzelił przypadkiem niedźwiedzia oswojonego, który rozjuszony bólem, rzucił się na niego i ugryzł go w ramię.

Major zachorował obłóźnie i umarł z odniesionej rany, lecz tuż przed samem Bożem Narodzeniem. Gdyby majorowa była wiedziała, że leży chory, byłaby mogła znowu objąć zarząd Ekeby, ale rezydenci wiedzieli, że nie powróci przed upływem roku.

DZIEWCZYNA Z NYGAARDU.

Nieznane jest miejsce w lesie u stóp, gdzie jodły rosną najgęściej i gdzie gruby podkład miękkiego mchu pokrywa ziemię. Zkądżeby miał je kto znać? Nigdy przedtem nie stąpiła tam ludzka noga; do tego ukrytego miejsca nie wiedzie żadna ścieżka. Granitowe skały spiętrzyły się naokół, strzegą go poplątane jałowce, zeschnięte gałęzie i obalone pnie drzewne tamują dojsście, zając znaleźć go nie może, lis niem gardzi. Jest to najustronniejszy zakątek w lesie; w tym czasie jednak rojno tam.

— Co za nieskończony pochód! Wypełniłby kościół w Bro i Löfrvik i jeszcze w dodatku kościół w Svartsjö. Niezliczone tłumy.

Dzieci, którym nie pozwolono przyłączyć się do pochodu, stoją na gościńcu lub siedzą na płotach i parkanach, które dy tłum przechodzi. Malcy nawet nie przypuszczali, aby mogło być tyle ludzi na świecie, taka moc niezliczona. Gdy dorosną, przypominać sobie będą te falujące tłumy. Na wspomnienie

to ich oczy łzami zajądą, bo wzruszający to był widok owego nieskończonego pochodu na drodze, na której zazwyczaj nie widywano prawie nikogo, chyba od czasu do czasu jakiegoś samotnego wędrowca, żebraka lub chłopski wózek.

— Wszyscy, mieszkający przy tej drodze, wybiegają z domów, pytając:

— Czy wydarzyło się jakie nieszczęście? Czy wpadł nieprzyjaciel? Dokądże dążycie, ludzie?

— Szukamy! — odpowiadali. — Dwa dni szukamy. I dziś jeszcze szukać będziemy, nie możemy dłużej odwlekać. Przeszukamy las Björne i jodłami zarosłe wzgórze, na zachód od Ekeby leżące.

Pochód ten wyruszył z Nygaardu, wioski, leżącej we wschodnich górach. Ładna, młoda dziewczyna, o gęstych, czarnych włosach i rumianych licach zginęła od tygodnia. Roznosicielka mioteł, którą Gösta chciał poślubić, zgubiła się w ogromnych lasach. Od tygodnia nikt jej nie widział. Wyruszyli więc ludzie z Nygaardu na jej poszukiwanie. I wszyscy, których spotykali na drodze, przyłączyli się do nich, aby wspólnie szukać. Z każdego domu ktoś się wyprawiał.

Często nowoprzybyły pytał:

— Ludzie z Nygaardu, jak mogliście do tego dopuścić? Dlaczegoż puszczaliście młodą, ładną dziewczynę w nieznane strony? Lasy są ogromne, a Bóg nie obdarzył jej rozumem.

— Jejby nikt nie skrzywdził, jak i ona nikt — odpowiadają. — Może tak spokojnie chodzić po świecie, jak dziecko. Któż jest bezpieczniejszy od tego, kogo strzeże sam Bóg? Zwykle wracała.

Pochód dążył wschodnimi lasami, oddzielającymi Nygaard od równiny. Trzeciego dnia przybył on pod kościół Bro, posuwając się ku lasom, na zachód od Ekeby leżącym.

A gdzie pochód się ukaże, sieje zdumienie — zawsze musi ktoś z pochodu zatrzymać się i odpowiadać na pytania: Czego chcecie? Czego szukacie?

— Szukamy niebieskookiej, czarnowłosej, młodej dziewczyny, która legła w lesie, aby umrzeć. Od tygodnia jej nie widzieliśmy.

— Dlaczegoż szukała śmierci w lesie? Czy była nieszczęśliwa?

— Nie, nędzy nie zaznała, lecz nieszczęście spotkało ją tej wiosny. Od lat kilku kochała się w dawnym proboszczu, Göście Berlingu. Nie była temu winna, Bóg nie dał jej rozumu.

— Ha, skoro jej Bóg nie obdarzył rozumem!...

— Tej wiosny przyszło na nią nieszczęście. Dotąd on jej nie widział, a zobaczywszy, powiedział, że weźmie ją za żonę. Był to żart — on ją porzucił, a ona była niepocieszona. Wciąż wracała do Ekeby. Chodziła za nim, gdzie się tylko ruszył. Natrętna mu była. Kiedy ostatnim razem się zjawiała, poszczuli ją psami. Odtąd nikt jej nie widział.

— Mężczyzni, chodźcie! idzie o życie ludzkie. Może już nie żyje, a może błąka się, nie mogąc znaleźć drogi. Las jest ogromny, a rozum jej u Boga.

— Przyłączcie się do pochodu, chodźcie z nami. Zostawcie owies w stogach, niech się ziarno wykruży, niechaj wszystkie kartofle zgniją w ziemi; wypuście konie, żeby z pragnienia nie zginęły w stajni, zostawcie otwarte wrota do obory, aby krowy na

noc mogły pod dach wrócić; weźcie dzieci z sobą, bo Bóg dzieci kocha i krokami ich kieruje. Niech one pomogą, gdzie rozum ludzki ustaje.

— Chodźcie wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci! Któż ośmieli się zostać w domu? Kto może wiedzieć, czy Bóg właśnie nie jego wezwie do pomocy? Chodźcie wszyscy, kto potrzebuje miłosierdzia, aby kiedyś dusza wasza niepocieszona nie musiała samotnie błąkać się, nie mogąc znaleźć spokoju. Chodźcie!

— Czy nie leży coś ciemnego, tam, pod skałą? Ach, to mrowisko! Chwała niechaj będzie Bogu, który kieruje krokami bezrozumnej! To nic, jeno mrowisko.

Co za pochód! Nie wspaniale przystrojony pochód, witający zwycięzcę, rzucający mu kwiaty na drogę, wypełniający mu uszy radosnymi okrzykami; nie pochód pielgrzymów, śpiewający psalmy i biczący się, który dąży do świętego grobu; nie pochód wychodźców na trzeszczących pod ciężarem wozach, przenoszący się na nowe siedlisko ze swojej nędznej siedziby; nie wojsko z bębniami i orężem — to tylko chłopci w codziennych sukniach z wojłoku, żony ich z pończochami w rękę, a dziećmi na plecach lub wieszającymi się ich spódnice.

Wspaniała to rzecz widzieć ludzi skupiających się w wielkim celu. Nie wygnał ich z domu głód, ani trwoga przed Panem, ani niesnaski. Ich trudy są daremne, praca nie otrzyma zapłaty — wyruszyli szukać biednej idiotki. Ile kropli potu, ile kroków, ile modłówny to nie kosztowało, nie otrzymają

žadnej innej nagrody, prócz odnalezienia biednej idyotki.

Czyż można nie kochać tego ludu? Czyż nie staną lzy w oczach każdemu, kto patrzy na ten pochód mężów o grubych rysach i twardych rękach, kobiet z czołami przed czasem zmarszczkami poaranemi i dzieci, które Bóg ma skierować na właściwe miejsce?

Cały gościniec zalal ten pochód szukających. Ponurym wzrokiem obejmują las; posepni zapuszczają się wewnątrz, widząc, że pewniej znajdą umarłą niż żywą.

— A to coś czarnego tam pod skałą! to chyba nie mrowisko, ale może obalone drzewo? Chwała Bogu, tylko drzewo obalone! Ale nie można dojrzeć dokładnie, jodły rosną tam tak gęsto!

Taki długi jest pochód, że pierwsi dotarli już do lasu na zachód od Björne, gdy ostatni, kaleki i starcy, kobiety, niosące na rękach niemowlęta, za ledwie są pod kościołem w Broby.

A potem cały ten falujący tłum znika w lesie. Poranne słońce rzuca im blask popod jodły i zapadające oświetla gromady, wracające z lasu.

Już trzeci dzień szukają. Przyzwyczajeni są do tej roboty. Szukają pod stromemi skałami, gdzie rzeka się sączy, pod obalonemi drzewami, na których łatwo można złamać rękę lub nogę, pod konarami gęstych jodeł, zwieszającemi się ponad miękkim mchem, zapraszającym do spoczynku.

Jaskinię niedźwiedzia, norę lisa, podziemny korytarz borsuka, jodłę z białemi szpilkami, górę, której las przed miesiącem zniszczył pożar, kamień,

który tu rzucił olbrzym — wszystko to znaleźli, ale nie miejsce pod skałą, gdzie leżało coś czarnego, co widzieli zdala. Nikt nie sprawdził, czy to było mrowisko, obalony pień drzewa, czy też człowiek. Pewnie człowiek, ale nikt nie znalazł tego miejsca, nikt nie przekonał się naocznie.

Zachodzące słońce widzi ich, wychodzących z drugiej strony lasu, ale bez dziewczyny. Cóż tu robić? Jeszcze raz las przeszukać? Las jest niebezpieczny o zmroku: są tam bezdenne bagna i straszne przepaście. I coż mogą znaleźć teraz, kiedy słońca niema, skoro nie znaleźli nic, gdy świeciło?

— Chodźmy do Ekeby! — odezwał się ktoś z tłumu.

— Do Ekeby! Do Ekeby! — wołają wszyscy.

— Chodźmy, zapytamy rezydentów, dlaczego wypuścili psy na tę, której Pan nie dał rozumu, dlaczego niemądrą przywieśli do rozpaczki? Nasze biedne, głodne dzieci płaczą, nasze suknie się podarły; ziarno z kłosów się wykrusza, kartofle gniją w ziemi, konie się nam zdziżyły, krowy pozostawione są bez opieki, my sami omal nie padamy z utrudzenia, a wszystko to przez nich. Chodźmy do Ekeby wymierzyć sobie sprawiedliwość! chodźmy do Ekeby!

— W tym roku przeklętym wszystko spada na nas, chłopów. Ciężko dotknęła nas ręka Pańska: zima przyniesi nam głód. Kogoż szuka ręka Boża? Nie proboszcza z Broby; jego modły dotarły jeszcze przed tron Najwyższego. Któżby więc inny miał być, jeżeli nie rezydenci? Chodźmy do Ekeby!

I posepni, rozdrażnieni mężczyźni spieszą do Ekeby, głodne kobiety z płaczącemi na rękach dziećmi

biegną za nimi, na końcu suną kaleki i osłabieni starcy. A gniew jak wzbierająca rzeka ogarnia tłumy, przenosząc się od starców na kobiety, a z nich na silnych mężów, kroczących na czele pochodu.

Jesienna powódź nadchodzi! A wiosenną przypominacie sobie, rezydenci? Teraz płyną nowe fale wzburzone od strony gór, nowa ruina i zniszczenie godzi na cześć i potęgę Ekeby.

Najemnik, orzący przydrożne pole, słyzy wściekłe okrzyki tłumy. Odpręga jednego z koni od pług i gna do Ekeby.

— Niestety się zbliża!—woła—Niedźwiedzie suną! Wilki pędzą! Złe duchy zbliżają się do Ekeby!

Objeżdża wokół podwórze, nieprzytomny z przerażenia.

— Wszystkie złe duchy ruszyły — wołał — Ida, podpalać dwór, wyrzną rezydentów!

A tuż za nim rolegają się już krzyki i wrzaski pierwszych szeregów. Jesienna powódź grozi dworowi.

— Czy ta nacierająca fala wie, czego chce? Ognia, mordy, rabunku?

To nie ludzie, ci, którzy tu dążą: to złe duchy lasu, dzikie bestye pustkowiec.

— My, ponure potęgi, które musiałyśmy ukrywać się pod ziemią, tę jedną, jedyną chwilę mamy wolną. Zemsta nas wyswobodziła — wołają.

Są to duchy gór, które kruszec wydobywały, to duchy lasów, które drzewa ścinały, to duchy pól, które sprawiły, że zboże rosło: wolne są teraz, sil swoich użyją ku niszczeniu i burzeniu. Śmierć Ekeby! Śmierć rezydentom!

Tu wódka płynie strumieniem. Tu stopy złota leżą nagromadzone po lochach piwnic. Tu są zapasy zboża i mięsa. Dlaczego mają dzieci sprawiedliwych mrzeć głodem, a występni opływać w dostatki?

Czas ich minął. Dopełniła się miara, rezydenci! Wy lilie, które nie siałycie nigdy, wy ptaki, które nie zbierałyście nigdy, dopełniła się miara! W lesie leży ta, która na was wydała wyrok, ona, która w lesie leży, potępiła was!

Rezydenci stoją na balkonie głównego budynku i patrzą na zbliżające się tłumy. Wiedzą, o co ich oskarżają. Wyjątkowo, tym razem są niewinni. Jeżeli dziewczyna szukała w lesie śmierci, to nie dlatego, że szczuli ją psami — tego nie uczynili — lecz dlatego, że Gösta Berling przed tygodniem ożenił się z hrabiną Elżbietą.

Ale na co się przyda mówić do szalonych ludzi? Są głodni, zmęczeni, podnieca ich zemsta, dodaje bodźca chęć rabunku. Wpadają z dzikim okrzykiem, a przed nimi na koniu jedzie ów najemnik, który ze strachu postradał zmysły.

— Niedźwiedzie idą! Wilki suną! Złe duchy chcą porwać Ekeby.

Rezydenci ukryli młodą hrabinę w najdalszym pokoju. Lövenberg i wuj Eberhard mają jej towarzyszyć i strzedz jej — reszta wyszła do tłumów. Stoją na ganku bezbronni i uśmiechają się, gdy pierwsza wrzeszcząca fala do nich dociera.

Umilkli na widok tej spokojnie stojącej garstki ludzi. Są pomiędzy nimi ci, których w gniewie chętnieby o ziemię rzucili i podkutymi żelazem obcami na śmierć stratowali, jak to ongi uczynili górnicy.

nicy przed pięćdziesięciu laty z rządcą i inspektorem, ale spodziewali się zatarasowanych drzwi, śmiało wzniesionej broni, oczekiwali walki i oporu.

— Kochani przyjaciele—odezwali się rezydenci—kochani przyjaciele, posilcie się i skosztujcie wódki, pędzonej na Ekeby, wszak jesteście głodni i znużeni.

Tłum nie chce słyszeć o niczem; wyje i grozi—rezydenci nie gniewają się bynajmniej.

— Poczekajcie, poczekajcie—mówią.—Patrzcie, Ekeby stoi przed wami otworem, piwnice są pootwierane, spiżarnie, mleczarnie. Wasze żony omdlewają z umęczenia, dzieci krzyczą. Najpierw damy im jeść i pić, a potem możecie nas ubić. Nie ucieknijemy wam. Strych mamy pełen jabłek, przyniesiemy je dla waszych dzieci.

W godzinę później zabawa odbywa się w najlepsze—największa zabawa, jaką kiedykolwiek oglądał ten wspomniały dwór, odbywa się tej nocy jesiennej przy blasku księżyca w pełni.

Na podwórzu płoną ognie. Ludzie siedzą grupkami, używając na ciepło i wypoczynku, a tymczasem zlewają się na nich wszystkie ziemskie rozkosze.

Posłano zwinnych ludzi do obór i spiżarni po zapasy. Kazano bić cielęta i owce i w mig było z nich pieczyście. Setki ludzi pochłania wszystko w mgnieniu oka. Jedno bydło za drugim wyciąga ją i rzną. Zdaje się, że tej nocy opróżnią się wszystkie obory w Ekeby.

Właśnie temi dniami odbywało się we dworze wielkie pieczenie jesienne. Odkąd młoda hrabina tu zamieszkała, gospodarstwo domowe było w ruchu.

Młoda hrabina zdawała się nie pamiętać o tem zgoła, że jest żoną Gösty Beringa; oboje nie mówili o tem ani słowa, ale ona stała się właściwą panią domu. Jak każda dobra, gospodarna kobieta, starała się wszelkimi siłami zapobiedz rozrzutności i próżniactwu, które dotąd panowały we dworze. I słuchano jej: czeladź zdawała się odczuwać pewną przyjemność, że ją znów wzięto w karby.

Ale cóż z tego, że stryżek napelniła chlebem, że postarała się o masło i piwo, że przez cały wrzesień robiono sery? Wszystko teraz wydobyto, aby ludzie nie podpalili dworu i nie pozabijali rezydentów. Beczki i barylki, szynki, garnce wódki, jabłka—wszystko wynoszono.

A wszystko, co się dzieje, dzieje się właściwie tylko z jej powodu, tej, która obecnie jest panią na Ekeby. Rezydenci są odważni i bronią władać umiejają — oniby się bronili, gdyby im o siebie chodziło. Oniby te chciwe grabieży tłumy kilku strzałami odstraszyli, gdyby nie ona, słodka, łagodna, która wstawia się za nimi.

Im później w noc, tem usposobienie ludzi bardziej łagodnieje. Ciepło, spokój, jadło i wódka uciszają ich gwałtowne wzburzenie. Zaczynają żartować i śmiać się, urządzają stypę po dziewczynie z Nygaardu, a wstyd i hańba temu, kto na stypie nie ma pragnienia i nie weseli się.

Dzieci pożerają owoce, które im znoszą. Biedne dzieci najemników, dla których leśne jagody są przysmakiem, objadają się jabłkami, rozplywającymi się w ustach, długawemi, słodkimi rajsłkimi jabłkami, żółto-białemi cytrynkami, gruszkami o czerwonych

rumieńcach i śliwkami różnego gatunku, żółtemi, czerwonymi i niebieskimi.

Gdy nadchodzi północ, zdaje się, jakby zabawa miała się ku końcowi. Rezydenci nie stawiają już jadła, ni napitku; nie otwierają już butelek, nie toczą piwa. Wydają westchnienie ulgi, w przekonaniu, że niebezpieczeństwo minęło.

Ale właśnie w tej chwili w oknie głównego budynku ukazuje się światło. Wszyscy, którzy w tę stronę patrzą, wydają okrzyk. Młoda jakaś postać kobieca przechodzi ze świecą w rękę.

Trwa to mgnienie oka; postać znika, ludziom się jednak zdaje, że poznali, kto ona—miała gęste czarne włosy i rumiane policzki.

— A więc ona tu jest, ukrywają ją!—krzyczą.

— Hola, panowie, macie ją więc tu? Macie dziecko nasze, któremu Bóg nie dał rozumu? Wy, bezbożnicy, co z nią robicie? A nas zostawiacie w niepewności tygodnie całe? Pozwalacie nam szukać jej trzy dni z rzędu. Precz z jadłem i winem! Biada nam, żeśmy cośkolwiek przyjęli z rąk waszych! Wydajcie nam ją najpierw, potem zobaczymy, co z wami począć!

Dopiero co łagodni, zaczynają znów ryczeć i wyć. W szalonych podskokach pędzą do budynku.

Szybcy są, ale rezydenci jeszcze zwinniejsi. Wybiegają na górę i zamykają drzwi do sieni. Ale jakżeż powstrzymać napierające tłumy? Jedne drzwi po drugich wyłamują. Bezbronni rezydenci cofają się. Gęsty tłum otacza ich tak, że się nie mogą ruszyć. Tłuszcza chce wdrzeć się do domu, szukać dziewczyny z Nygaardu.

Znajdują ją w ostatnim pokoju. Nikt nie ma czasu zastanowić się, czy jasna, czy ciemnowłosa. Biorą ją na ramiona i wnoszą. Uspokajają ją, żeby się nie bała, gdyż oni tylko z rezydentami mają obrachunki—przyszli ją uwolnić.

A wypadłszy z budynku, spotykają się z innym pochodem; na niedostępnem miejscu w lesie znalazło jakieś dziecko zwłoki dziewczyny, która spadła z wysokiej skały. Kilku mężczyzn, którzy się zagłębili w las, przyniosło ją na ramionach. Piękniejszą jest po śmierci, niż była za życia. Piękna jest, leżąc tak z długim, ciemnym, rozpuszczonym włosom. Jest to śliczne zjawisko teraz, gdy wieczny spokój osiadł na jej twarzy.

Wysoko na ramionach mężczyzn przesuwa się poprzez szeregi ludzi. Cisza nastaje w grupach, które mijają. Z pochylonemi głowami oddają wszyscy cześć majestatowi śmierci.

— Dopiero co umarła — szepczą ci, którzy ją niosą — do dziś dnia błądziła po lesie. Widocznie chciała przed nami uciec i wtedy spadła ze skały.

— Ale jeżeli to jest dziewczyna z Nygaardu, kimże jest ta, którą wynieśli z Ekeby?—pytają,

Pochody zetknęły się. Jasne ogniska oświetlały podwórce, można było dobrze widzieć obie kobiety i wtedy poznali w drugiej młodą hrabinę z Borgu.

— Cóż to ma znaczyć? Czyż natrafilimy na ślad nowej zbrodni? Zkąd się wzięła młoda hrabina w Ekeby? Dlaczego opowiadano im, że przebywa daleko, a może nawet nie żyje? W imię sprawiedliwości rzućmy się na rezydentów i stratujmy ich naszymi żelazem podkutymi obcasami!—wołają.

Wtem rozlega się głos donośny. Gösta Berling wyskoczył na balustradę i z niej przemawia:

— Słuchajcie mnie, wy, potwory, szatany! Czy sądzicie, że w Ekeby brak strzelb i prochu? Szaleńcy! Czy myślicie, że nie miałem ochoty wystrzelać was, jak psy wściekle? Ale tamta ot błagała za wami. Ach, gdybym był wiedział, że się jej dotknąć ośmielicie, nie pozostałby ani jeden z was przy życiu.

— Dlaczego urządzenie tu dziś hałasy, napadacie na nas, jak rabusie i grozicie nam ogniem i mordem? Co mi do waszej szalonej dziewczyny? Czy ja wiem, gdzie się podziała? Byłem dla niej za dobry—oto wszystko. Powinienbym ją był poszczuć psami, byłoby lepiej dla nas obojga, ale tego nie uczyniłem. Nigdy jej nie przyrzekałem, że się z nią ożenię—nigdy tego nie zrobiłem. Pamiętajcie o tem!

— A teraz mówię wam puście tę, którąście z domu wyciągnęli! Puście, powiadam i niechby ręce, które ją dotknęły, gorzały w ogniu wiecznym! Czyż nie pojmujecie, że ona stoi tak wysoko nad wami, jak niebo nad ziemią? Ona jest tak delikatną, jak wy grubiańscy, tak dobrą, jak wy niegodziwi.

— A teraz powiem wam, kto ona. Najpierw jestto anioł z nieba! — później była żoną hrabiego z Borgu. Ale teściowa jej dręczyła ją dzień i noc, jak zwykła dziewczka stać musiała nad morzem i pracować przy bieliznie; bili ją i katowali tak, jak żadną z waszych kobiet. Tak, omal nie rzuciła się w wodę, jak o tem wszyscy wiemy—tak ją dręczyli. Chciałbym wiedzieć, który też z was, hultaje, przyszedł jej z pomocą,

by ją wyratować? Nikogo z was nie było—ale uczyniliśmy to my, rezydenci.

— A kiedy porodziła syna w chacie wiejskiej, kazał jej hrabia powiedzieć: Ślub nasz był nieważny, zawarty na obczyźnie, nie według naszego obyczaju; nie jesteś moją żoną, ja nie jestem twoim mężem, dziecko twoje nic mnie nie obchodzi. Skoro rzeczy tak stały, a ona nie chciała, aby dziecko w księdze zapisane było, jako nie mające ojca, zapewne nadęlibyście się, gdyby któremuś z was powiedziała: ożeń się ze mną! muszę mieć ojca dla dziecka! Ale ona nie wybrała żadnego z was—wzięła Göstę Berlinga, biednego proboszcza, który już nigdy więcej nie może głosić słowa Bożego. Tak, a wierzcie mi, chłopcy, nigdy mi nie było nic tak ciężkie, bo czułem się jej niegodny, nie śmiałem jej w oczy spojrzeć, a odmówić też nie mogłem, gdyż była w rozpaczy wielkiej.

O nas, rezydentach, myślcie sobie, jak chcecie, dla niej jednak byliśmy dobrzy, jak tylkośmy umieli. Jej to zasługa, żeśmy was wszystkich razem nie wystrzelali. A teraz powtarzam wam: Puście ją i idźcie sobie do domu! Inaczej gotów jestem przypuścić, że ziemia się otworzy i pochłonie was. Kiedy ojedzicie, proście Boga, aby wam przebaczył, żeście ją tak przestraszyli i zasmucili, ją, taką dobrą i niewinną. A teraz precz, dość już was mieliśmy!

Na długo przed końcem mowy mężczyźni, niosący hrabinę, posadzili ją na kamiennym stopniu, a teraz spokojnie zbliżył się do niej jakiś ogromny chłop, podając jej swoją grubą rękę.

— Ostańcie z Bogiem i dziękuję pięknie!—powiedział. — Nie chcieliśmy pani hrabinie wyrządzić

krzywdy nijakiej! Pani hrabina niech się na nas nie gniewa.

Gösta zeskoczył i stanął przy niej. Wtedy i jemu podawali rękę.

I powoli, spokojnie przychodzili jeden za drugim, aby pożegnać ją przed odejściem. Byli znowu potulni, stali się znów ludźmi, jakimi byli, gdy rankiem opuszczali swoje domostwa, zanim głód i żądza zemsty nie zmieniły ich w dzikie zwierzęta.

Patrzyli hrabinie szczerze w oczy i Gösta spostrzegł, że widok niewinności i dobroci, malujących się w jej rysach, wyciskał niejednemu łzę z oka. Na twarzach wszystkich ich widać było ciche uwielbienie czegoś najszlachetniejszego, dotąd niewidzianego—cieszyło ich, że istnieje na świecie ktoś, mający tyle umiłowania w dobrem.

Wszyscy nie mogli jej ręki ścisnąć, było ich przecież tak wielu, a młoda kobieta była osłabiona i zmęczona. Ale podejść musieli wszyscy, przypatrzyć się jej i przynajmniej Göście Berlingowi podać rękę—on mógł znieść ich silne uściski.

Gösta stał jak we śnie. W sercu jego zbudziła się tego wieczora nowa miłość.

— O mój ludu — myślał — o mój ludu, jakże ja cię kocham!

Czuł, jak kocha ten cały tłum, który zapuszczał się w ciemną noc, na czele niosąc zwłoki dziewczyny — wszystkich tych ludzi w grubych sukniach i cuchnących butach, którzy mieszkali w szarych chatkach na kraju lasu, którzy pisać nie umieli, a czę-

sto nawet i czytać, którzy nie wiedzieli wcale, co to jest pełnia życia i dostatek, którzy znali tylko troskę i walkę o chleb codzienny.

Czyż to nie wielki, nie kochany lud? Czy nie jest odważny, wytrwały, pogodny i pracowity, zręczny i przedsiębiorczy? Czy biedak nie współczuje drugiemu biedakowi? Czy w rysach przeważnej części nie maluje się inteligencya wielka? Czyż mowa ich nie tryska humorem?

Kochał ich bolesnem, gorącym uczuciem, które mu lzy cisnęło do oczu. Nie wiedział, coby dla nich mógł zdziałać, ale kochał ich wszystkich i każdego poszczególnie, razem z ich wadami i ułomnościami. Ach Boże! gdybyż to nadszedł czas, w którymby go i oni pokochali!

Zbudził się ze swojego snu. Tłum się rozpierchnął. Wtem żona jego położyła mu rękę na ramieniu. Stali w tej chwili sam na sam na stopniach.

— Ach, Gösto, Gösto, jak mogłeś to uczynić!

Ukryła twarz w dłonie i rozplakała się.

— Co powiedziałem, jest prawdą!—zawołał.—Dziewczynie z Nygaardu nigdy nie przyrzekałem ożenienia się. Przyjdź tu w najbliższy piątek, a zobaczysz coś wesołego!—oto wszystko, co jej powiedziałem. Nie jestem winien, że się we mnie zakochała.

— Ale nie o tem myślałam; jakże mogłeś im powiedzieć, że jestem dobra i czysta? Gösto, Gösto, więc ty nie wiesz, że kochałam cię już wtedy, kiedy

mi nie było wolno cię kochać? Wstydziałam się tych ludzi! Omal nie umarłam ze wstydu!

I łkania wstrząsały jej ciałem.

On stał i patrzył na nią.

— O, ukochana ty moja! — szepnął. — Jakaż jesteś szczęśliwa, żeś taka dobra! Jakaż jesteś szczęśliwa, mając tak piękną duszę!

JARMARK W BROBY.

W pierwszy piątek października rozpoczyna się w Broby wielki jarmark i trwa tydzień. Jest to największe święto w roku. Poprzedza je ogólne bicie bydła i pieczenie w każdym gospodarstwie; szyje się nowe ubrania zimowe, a wtedy można je przywdziać po raz pierwszy. Świąteczne przysmaki—placek z serem i pączki — rozłożone są przez cały dzień na stole, porcy wódki podwaja się, praca ustaje zupełnie. W każdej zagrodzie urządza się przyjęcie; służba i najmści biorą zaliczki z pensyj i rozważają dokładnie, co mają kupić na jarmarku. Gościńcem, z dalekich stron ciągną grupkami ludzie z tłomokiem na plecach, a kijem w rękę. Wielu pędzi też bydło swoje, aby je sprzedać, bo bieda w domu. Małe, uparte byczki i kozły, które raz w raz stają sztywnie wyciągając naprzód łapy, sprawiają dużo kłopotu właścicielowi, a uciechy przechodniom. Pokoje gościnne po dworach pełne są miłych gości, zamieniają nowiny, podają sobie wzajemnie ceny

bydła i inwentarza. Dzieci snują się, marząc o podarkach.

Pierwszego dnia jarmarku roi się na wzgórzach Broby i na całym targu. Sporządzono namioty, gdzie rozstasowali się kupcy z miasta ze swoim towarem. Dalekarezczycy i Zachodnio-gotlandczycy rozkładają swoje mienie na długich ławach, nad którymi powiewa białe płótno, jak na namiotach linoskoków, katarynek, ślepych skrzypków moc, zarówno jak wrózek, przekupniów ze słodowemi cukierkami i szynkujących wódkę.

Z tyłu ustawiono naczynia gliniane i drewniane. Cebulę, chrzan, jabłka i gruszki sprzedają ogrodnicy wielkich dworów. Wielkie przestrzenie placu pokrywa czerwono-brunatne, wewnątrz pobielane miedziane naczynie.

Po obrocie łatwo poznać, że w Svartsjö i Broby i w innych miejscowościach nad jeziorem Lōf panuje bieda. Kupno w namiotach i przy długich stołach kiepsko idzie. Największy ruch panuje na placu, gdzie sprzedają bydło, gdyż niejeden musi sprzedać krowę lub konia, aby mógł z rodziną wyżyć przez zimę. Tam też odbywa się zajmująca, wrzaskliwa zamiana koni.

Wesoło jest na jarmarku w Broby. Jeśli tylko są pieniądze na kilka kubków, humor się zawsze znajdzie. Ale nie sama wódka sprowadza tę wesołość. Gdy ludzie z odległych, het w lasach stojących chat przybędą nagle w rojowisko jarmarku, w pierwszej chwili stają przerażeni, słysząc wrzawę tych krzyczących, śmiejących się tłumów, kiedy je-

dnak sami w to rojowisko wejdą, odurza ich radość, w szal wprawia kipiące życie jarmarczne.

Odbywa się też i handel między tyłu ludźmi, ale nie jest główną rzeczą. Najglówniejsze jest w gronie dobrych przyjaciół siąść gdzieś w namiocie, raczyć się kielbasą, pączkami i wódką, swoją dziewczynę skłonić, by przyjęła książkę do nabożeństwa i jedwabną chusteczkę, lub zakupić podarki dla dzieci.

Wszyscy, którzy nie muszą pozostać w domu, pilnować dobytku, idą do Broby. Są tu więc rezydenci z Ekeby i węglarze z Nygaardu, handlarze koni z Norwegii, Finnowie z głębokich lasów i włości z całego świata.

Od czasu do czasu skłębi się to całe falujące morze w jeden wir, który zda się kręgiem obracać około środkowego punktu. Nikt nie wie, co stanowi ten punkt właśnie, póki kilku policyantów nie rozepchnie tłumów, aby zakończyć jakąś bójkę lub podnieść wóz wywrócony. Za chwilę skupiają się znów tłumy około jakiegoś kupca, który się targuje z wesołą dziewczyną.

W południe zawrzała wielka bitka. Chłopi wbili sobie w głowę, że Gotlandczycy mierzą skąpo; zaczyna się od kłótni i wymyślań przy długich stołach, lecz niebawem przechodzi się do namacalnych argumentów. Dla wielu, którzy znają tylko nędzę i biedę, jest to pewnego rodzaju przyjemność, że sobie mogą pozwolić na bicie, bez względu na to, kogo i co trafili. A gdy siłacze i zawodowe zbijaki spostrzegą, że idzie bójka, zbiegają się natychmiast ze wszystkich kątów. Rezydenci zazwyczaj wdzierają się w taki kłębek, aby na swój sposób

zgode zaprowadzić, Dalekarlczycy biegną na pomoc Gotlandczykom.

Najbardziej rozbija się tym razem silacz, Mäns z Borsu, jest pijany i rozsierdzony jakiś. Przewrócił jakiegoś Gotlandczyka i zabiera się go obić; na jego wołanie o pomoc nadbiega jakiś rodak i chce zmusić silnego Mänsa do wypuszczenia z rąk ofiary. Wtedy napastnik zrzuca z ławy wszystkie rzeczy, chwyta deskę szeroką na łokieć, a długą na ośm, i zaczyna nią wywijać, jak orężem.

Silacz Mäns to straszny człowiek. W więzieniu w Filipstadzie zawałił ścianę całą, a łódkę mógł zdjąć z morza i na ramieniu zanieść do domu. Łatwo pojąć, że wszyscy uciekają, widząc, jak wywija ciężką deską. Ale silacz rzuca się za nimi, bijąc bez pamięci. Nie patrzy, czy to wróg, czy przyjaciel; musi kogoś bić, skoro ma broń w ręku.

Ludzie przestraszeni uciekają, uciekają z krzykiem mężczyzui i kobiety. Ale jak tu uciekać tym ostatnim z małemi dziećmi? Budy i wozy tamują drogę. Krowy i woły, przerażone hałasem, przeszkadzają im w ucieczce.

W jednym kącie między budami ścisnęła się gromadka kobiet—na nie rzuca się olbrzym. Blade, drżące ze strachu, gotują się na ciosy i kurczą się mimowoli.

Kiedy deska ze świstem spaść ma na nie, zatrzymuje się na wyciągniętych rękach jakiegoś mężczyzny. On się nie skurczył, lecz stanął wyprostowany, wpośród kłębka ludzi, dobrowolnie przyjmując cios, aby ocalić innych. Kobiety i dzieci sto-

ją nietknięte. Jakiś człowiek odwrócił od nich cios, ale sam legł nieprzytomny na ziemi.

Silacz nie podniósł już deski do uderzenia. Wzrok męża padł na niego, gdy deska godziła w jego głowę, a wzrok ten go obezwładnił. Pozwolił się związać i odstawić bez oporu.

Lotem błyskawicy po całym jarmarku rozeszła się wieść, że silacz Mäns ubił kapitana Lenarta. Opowiadano, że przyjaciel ludu zginął, ratując bezbronne kobiety i dzieci.

I cisza zaległa na obszernym placu, gdzie przed chwilą wrzało szalone życie, ruch ustal, bitki się skończyły, przerwano traktament w namiotach, napróżno linoskok zapraszał widzów. Przyjaciel ludu umarł, lud okrył się żałobą. W głębokim milczeniu gromadzą się wszyscy około miejsca, na którym padł. Leży rozciągnięty na ziemi, zupełnie bezprzytomny; żadnej rany dojrzeć nie można, tylko czaszka jest zapadnięta.

Kilku ludzi podnosi go ostrożnie na desce, którą porzucił bohater. Zdaje im się, że jeszcze żyje— Gdzież go zanieść?—pytają wzajem.

— Do domu — odpowiada z tłumu jakiś głos szorstki.

Zraniona głowa leżała na twardym tapczanie w więzieniu, na wiązce słomy w stajni po wyjściu z niego.

— Niechże teraz wreszcie spocznie na miękkiej poduszce w domu. Niewinnie znosił wstyd i męki, odpędzono go od drzwi własnego domu. Zanieśmy go tam teraz! Biedny to wygnaniec, który nie zaznał spokoju — krainą tęsknoty jego był dom,

którego drzwi Bóg przed nim zawarł. Zanieśmy go do domu — może otworzy się przed tym, który zginął w obronie kobiet i dzieci? Nie przybywa przecież jako złoczyńca w gronie podpitych towarzyszków hulanki — wie dzie go orszak żałobny, mieszkał w ich chatach, przynosił im ulgę w ich cierpieniach.

I niosą go. Sześciu ludzi bierze na ramiona deskę, na której leży ranny i wynoszą go z placu. Którędy przechodzą, rozstępują się ludzie w milczeniu: mężczyźni odkrywają głowy, kobiety pochylają się, jak w kościele przy wymawianiu imienia Jezus. Wielu płacze i ociera oczy, inni zaczynają mówić o tem, jaki to człowiek był dobry, wesoly, uczynny i bogobojny.

A skoro tylko który z niosących się zmęczy, natychmiast zjawia się inny i w milczeniu podsuwa ramię pod deskę.

Tak przechodzi kapitan Lennart obok rezydentów.

— Pójdę z nimi, przypilnować, aby go dobrze donieśli — odzywa się Beerenercutz i opuszcza swoje miejsce. Idzie do Helgesäter, a inni naśladują jego przykład.

Jarmark opustoszał; wszyscy odprowadzają kapitana do domu. Co trzeba było koniecznie kupić, musi poczekać, zapomniano o podarkach dla dzieci, nie kupuje się książki do nabożeństwa, jedwabna chusteczka, cel pożądan dziewczyny, została w budzie, na stole. Wszyscy chcą odprowadzić kapitana Lennarta.

Gdy pochód dotarł do Helgesäter, zastał pustkę. Znów dudnią pięści pułkownika w drzwi za-

mknięte. Wszyscy służący są na jarmarku, tylko pani została w domu, aby pilnować gospodarstwa. Otwiera i dziś. I jak ongi, pyta też i dziś:

— Czego chcecie?

Na co pułkownik także, jak wówczas, odpowiada:

— Jesteśmy tu z mężem twoim.

Patrzy na niego, jak stoi sztywny i zimny, jak zwykle. Patrzy na tragarzy, zapłakanych i na cały tłum za nimi. Stoi na progu i patrzy w te setki płaczących oczu, które wpatrują się w nią pełne smutku, Nakoniec spogląda na męża, leżącego na marach i przyciska ręką serce.

— To jest twarz jego — szepcze.

Nie pytając więcej, odchyła zasuwę, otwiera szeroko drzwi i prowadzi ich do sypialni.

Z pomocą pułkownika rozchyła zsunięte podwójne łoże, strzepuje poduszki i składa ją kapitana na miękkim puchu i cienkiej pościeli.

— Czy żyje? — pyta.

— Tak — odpowiada pułkownik.

— Czy jest nadzieja?

— Nie — tu nic nie można poradzić.

Chwilę panuje głęboka cisza, nagle pyta znowu:

— Wszyscy ci ludzie jego oplakują?

— Tak.

— Cóż takiego uczynił?

— Ostatnie, co zrobił, to dał się zabić silnemu Mansowi, aby ocalić kobiety i dzieci od pewnej śmierci.

Siedzi chwilę w milczeniu i zadumie.

— Jakąż twarz więc miał pułkownika, gdy przed dwoma miesiącami wrócił do domu?

Pułkownik drgnął. Teraz dopiero zrozumiał.

— Gösta go pomalował.

— A więc z powodu waszego figla zamknęłam drzwi przed nim? Jakże wy zniesiecie tę odpowiedzialność, pułkowniku?

Beerencrutz wzruszył szerokie ramiona.

— Mam więcej na sumieniu, za co muszę odpowiadać.

— To bezwątpienia najgorsze, coś uczynił!

— To też w życiu nie odbyłem cięższej drogi, niż tę dziś, do Helgesäter. Zresztą winni tu i inni.

— Któż taki?

— Sintram jest jednym, drugą ty sama, kuzynko. Jesteś zawziętą kobietą. Wiem, że niejednemu próbował mówić z tobą o mężu.

— Prawda! — odparła. I prosiła go, by jej opowiedział o owej hulance w Broby.

Jał tedy opowiadać, ile pamiętał, a ona słucha w milczeniu. Kapitan leży wciąż na łóżku bezprzytomny. Pokój pełen jest ludzi płaczących, nikt nie myśli wypraszać ztąd smutnego tłumu. Wszystkie drzwi pootwierane, wszystkie pokoje, schody, korytarze pełne są milczących, stroskanych ludzi — nawet na podwórzu stoją zbitą masą.

Gdy pułkownik skończył opowiadanie, odzywa się żona kapitana podniesionym głosem:

— Jeżeli który z rezydentów przebywa w tym pokoju, proszę, aby go opuścił. Ciężko mi zniesć widok rezydenta przy śmiertelnem łóżku mego męża.

Bez słowa podnosi się pułkownik i wychodzi. To samo czyni Gösta Berling i inni rezydenci, którzy towarzyszyli pochodowi. Ludzie rozstępują się przed garstką głęboko upokorzonych mężów.

Gdy wyszli, odzywa się znów pani Lennartowa.

— Czy zechce ktoś, kto mojego męża widział przez te miesiące, opowiedzieć mi, gdzie przebywał i co robił?

Zaczynają tedy przed żoną kapitana składać o nim świadectwo, przed tą, która się na nim nie poznała i serce swoje odwróciła od niego. Ludzie, którzy nie czytali innej książki, prócz Biblii, poczynają mówić obrazami, zaczerpniętymi z księgi Hioba, zwrotami z czasów patryarchów o posłańcu Bożym, który krążył między nimi i wspierał ich.

Trwało to długo. Zmrok zapadł, wieczór nadszedł, a oni stoją i opowiadają, jeden po drugim występuje i opowiada jego żonie o nim, a ona, która nie mogła znieść wymienionego imienia jego, teraz słucha pilnie.

Opowiadają tedy, że zastał ich na łożu boleści i uleczył; zabijaki opowiadają, że ich poskromił; pijacy, że ich zmusił do umiarkowania, smutni, że ich pocieszył. Każdy, kto był w największej niedoli, zwracał się do wysłańca Bożego i ten mu dopomógł; przynajmniej mógł w serca ich wlać pociechę i nadzieję. Przez cały wieczór brzmią hymny pochwalne w pokoju, gdzie leży kapitan.

Na dworze tymczasem stoją zbite gromadki, oczekując „końca.“ Wiedzą, co się dzieje wewnątrz —

o czym głośno mówi się przy łożu konającego, to przechodzi z ust do ust szeptem. Każdy, kto ma coś do powiedzenia, przeciska się w milczeniu przez tłum.

— Oto jeszcze jeden, kto o nim zaświadczyć może! — mówią i przepuszczają go i występują na przód, składają świadectwo i znów cofają się w tłum.

— Co też ona powie teraz? — pytają się na dworze.—Co jasna pani z Helgesäter powie teraz?

Promienieje, jak królowa, uśmiecha się, jak młoda oblubienica.

Przysunęła jego karło do łóżka i położyła na niem suknie własnoręcznie utkane.

Wtem cisza zalega w tłumie. Nikt nic nie wie, ale wszyscy nagle czują, że ranny kona.

Kapitan otworzył oczy i zobaczył dom swój i tłumy ludzi, żonę i dzieci i suknie — i uśmiechnął się.

Ale zbudził się tylko, aby skonać. Westchnął i wyzionął ducha.

Wtedy milkną opowiadania. Jakiś głos zaczął odmawiać modlitwę za umarłych. Wszyscy przylgają się i setkami donośnych głosów wznosi się pieśń w niebiosy. Oto pożegnanie ziemi z odlatującą duszą.

SKARB PROBOSZCZA Z BROBY.

Cisza panowała w skrzydle rezydentów. Krzywe waltornie, które przed jarmarkiem odczyszczono i ozdobiono świeżemi, zielonemi sznurami i chwastami, nieużywane wisiały w kącie. Skrzypce, owinięte jedwabiem, leżały w pudłach ze smyczkiem z boku, a żywicą i zapasowemi strunami w głowach. Nie wydobyto fletów z kąpieli, w której leżały, aby nabrać pełni. Nie rozbrzmiewały pieśni Belmana, nie słychać było żartów i śmiechu. Na dużym stole, pełnym obrączek od dużych kieliszków do ponczu stała jeszcze taca z wazą, ale nikt nie mieszał dygniącego trunku. Beerencreutz siedział i bawił się kartami, lecz nikomu nie przyszła ochota rzucić pieniądze do puli.

Rezydenci, ci stróże wesołości, przypominali obecnie muchy marznące wśród zimy. Pustka i zimno zapanowały wokół nich. Wczoraj zmarł kapitan Lennart; od łoża jego wprost uciekł Gösta Ber-

ling w lasy, jak zwykł był czynić, gdy sumienie jego otrzymało nowy cios bolesny. Wiedzieli, że zabawi długo, może całe tygodnie, póki czas nie uleczy jego żalu. Ich młoda hrabina zamknęła się u siebie i nie chciała żadnego z nich widzieć.

Róże powiędły, listki poopadały, trawa pożółkła. Rezydentom zaczęło się zdawać, że samo życie przekwitło. Ornelou spostrzegł nagle, że jest stary i szkaradny, wuj Eberhard skończył wielkie naukowe dzieło, sumienie patrona Juliusza nie chciało milczeć, Liliencrona zatęsknił za domem.

I pytają sami siebie, czem zgrzeszyli, że wino straciło smak, że gra w karty nie sprawia im już przyjemności, że muzyka nie potrafi ich ożywić. Dlaczego stracili zdolność radowania się? Jakąż zbrodnię popełnili biedni, nędzni rezydenci?

Gdy tak rozmyślają, weszła córka proboszcza z Broby. Była to energiczna, drobna osóбка, która przez cały rok starała się walczyć z niedbalstwem w gospodarstwie i rozrzutnością. Było w niej tyle powagi i poczucia obowiązku, że rezydenci okazali jej szacunek, chociaż wyszła nieledwie z dzieciństwa.

— Dziś byłam znów w domu ojca i szukałam pieniędzy — odezwała się do rezydentów.

— Ale nic nie znalazłam. Wszystkie kwity dłużników są powyrywane, a szafy są próżne.

— To smutne — rzekł Beerencreutz.

— Kiedy majorowa opuszczała Ekeby — ciągnęła dalej córka proboszcza — prosiła mnie, bym czuwała nad jej domem. A gdybym znalazła pienią-

dze ojca, użyłabym ich do podniesienia dworu. Skoro jednak nie znalazłam nic innego, wzięłam kilka gałęzi i patyków ze wzgórza hańby mojego ojca, gdyż czeka mnie wielki wstyd, gdy moja pani powróci i zapyta, co się stało z Ekeby.

— Niechże panienska nie bierze tak do serca sprawy, w której przecież nic nie winna — uspokajał ją Beerencreutz.

— Ale nie tylko dla siebie wzięłam owe patyki ze wzgórza hańby — mówiła dalej młoda dziewczyna. — Wzięłam też kilka i dla panów, Proszę więc — oto są! Mój ojciec nie był jedynym, który hańbę i wstyd sprowadził na tę krainę.

I przechodziła od jednego do drugiego, kładąc przed każdym kilka suchych gałązek. Wielu z rezydentów lajało ją, kilku jednak przyjęło to ze spokojem.

W końcu Beerencreutz ze spokojną powagą wielkiego pana odezwał się:

— Dobrze, panienko. Dziękujemy. Można już odejść.

Gdy wyszła, uderzył w stół zaciśniętą pięścią, aż kieliszki zabrzęcały.

— Od tej chwili nie piję nic! — zawołał. — Kogoś podobnego wódka już ze mną nie dokaże.

Powstał i wyszedł, a głębokie milczenie zaległo znów między rezydentami.

Przed każdym z nich leżało kilka gałązek i patyków ze wzgórza hańby. Szedł od nich szereg niezliczonych pytań. Gdzie przebywa majorowa? Co się stało z potęgą i wielkością Ekeby? Dlaczego zginął wysłannik

Boży? Gdzie zamożność, która panowała nad jeziorem Löb?

I nagle skrzydło rezydentów rozbrzmiało tysiącem głosów, które odpowiadały na pytania. Zdało się staruszkom, że znajdują się wśród roju pszczoł brzęczących i klójących, gdyż na wszystkie te pytania brzmiały klójące, gryzące odpowiedzi. Rezydenci wypędzili swoją dobrodziejkę, rezydenci, których przyjęła pod swój dach, wygnali ją w świat. Ona żywiła ich i zabawiała, oni odwdzięczyli się jej głodem i zmartwieniem.

Rezydenci zmarnowali najpiękniejszy majątek Wermlandu. Rezydenci zamknęli drzwi domu przed wysłańcem Bożym. Zawadyaka, który go pozbawił życia, mniejszą mu wyrządził krzywdę, niż my, którzyśmy zabili w nim nadzieję. Rezydenci szerzyli wśród ludu pijaństwo i próżniactwo.

Po chwili podnosił się jeden rezydent za drugim i wychodzili. Przypadek zrządził, że niebawem wszyscy spotkali się nad rzeką tam, gdzie stał młyn i kuźnia. Wszędzie widoczne były ślady zniszczenia. Wielki młot sterczał z pośród stosu krokwi i desek — grube mury pieca były jeszcze całe, ogromny otwór komina otwierał swą paszczę.

I o dziwo! Wśród całej tej ruiny krzątał się Beerencreutz i pracował—chciał on uprzętnąć miejsce na nowy młyn i nową kuźnię. I w miarę, jak tamci nadchodzili, ci zabierali się też do roboty. Niebawem zgromadzili się wszyscy, wynosili belki, tłukli kamienie, kopali i zbijali. Wkrótce też zaczęły znów rozlegać się śpiewy, żarty i śmiechy. Wróciła

im odwaga i siła; mają najszczęśliwszy zamiar podnieść Ekeby do dawnej świetności. Sprowadzą majorową, skoro tylko będzie można, pojedzie po nią córka proboszcza z Broby. Biedacy z nad jeziora znów u nich będą mieli pracę.

Ale kontrakt, czarną krwią pisany, kontrakt wigilijnej nocy? Ach, oni teraz bardziej po rycersku się zachowują, niż dotąd. Pracowali i nadal pracować będą, a nagrodą ich całą będzie honor, nie pieniądze.

W niedzielę rano zjawił się Gösta Berling w kościele w Broby. Nabożeństwo się już rozpoczęło, to też pod kościołem było pusto, pod samym portalem jednak stała zbita naprędce trumna.

Ciężko było Göście przechodzić obok tej trumny. Wiedział, że w niej leży dobry kapitan Lenart i zdało mu się, że on zagradza mu drogę do kościoła.

Gösta chodził po lasach dzień i dwie noce; nie jadł nic, znużony był, głodny, wyczerpany bólem. Przybył zobaczyć biedny lud w kościele, gdyż tam, w samotności, przypomniał mu się dzień, kiedy siedział pod wzgórzem hańby proboszcza z Broby, przypomniała mu się noc, w której widział ponury pochód ze zwłokami dziewczyny z Nygaardu, kiedy to zbudziło się w nim pragnienie służenia ubogim. Teraz chciał im się przypatrzeć w kościele, aby się umocnić w swem postanowieniu.

Ale nie mógł przejść koło trumny kapitana Lennarta. Zdało mu się, że zmarły woła ku niemu:

— Gösto Berlingu, jakże zamierzasz wspierać ubogich? Wszak ciągniesz jeszcze za sobą skutki wszystkiego zła, które popełniłeś. Najpierw musisz, ty i ci, których kochasz, ponosić skutki nieszczęścia, któreś ty posiał.

Przystąpił nagle do trumny i padł na kolana.

— Pomóż mi być sługą ubogich — zawołał — pomóż mi, abym ukochanej nie zasmucił nigdy więcej!

Raz po raz powtarzał:

— Pomóż mi, abym odtąd nie sprowadzał zmartwienia, hańby, nędzy i innych nieszczęść na ziemię!

Wtem jakaś ciężka dłoń spoczęła na jego ramieniu. Za nim stał Sintram.

— Gösto, jeżeli chcesz spłatać komu doskonałego figla, to zabij się. Nic bardziej rafinowanego, jak umrzeć, nic nie może prawemu człowiekowi sprawić gorszej niespodzianki, jak śmierć zupełnie niespodziewana. Mówię ci: umrzyj!

— To byłoby też i dla mnie najlepsze!

— Przedtem jednak obmyśl coś, Gösto, czembym tego tu w trumnie mógł rozzłościć.

— Czy cię oszukał?

— Naturalnie! Jak mnie tu widzisz, chłopcze, ocyganił mnie! Udawał głuptaka i zadrwił sobie ze mnie, który uwierzyłem w jego głupotę, a on tymczasem był na tyle przebiegły, że w najstósowniejszej chwili sobie umarł. Ale odpłacę mu to! Zerwę kir i wieniec z jego trumny, wywrócę ją i zdepczę!

— Póki ja żyję, nie uczynisz tego! — zawołał Gösta.

Sintram skrzyżował ręce na piersi i podniósł głowę do góry; w tej chwili było w nim coś ze straszego majestatu zła.

— Mam do tego prawo! — wyrzekł uroczyście. — Było to wielkie dzieło, plan tak zręcznie ułożony, a on mi zepsuł wszystko. Chodziło o całą ludność nad jeziorem. Gdybym był przeprowadził to, co zamierzałem, byłaby cała ludność zgubiona. Wszak pracowałem nad tem okrągły rok. Wypędziłem majorową, osłabiłem Melchiora Sinclair'a, ukryłem skarb proboszcza z Broby, pozwoliłem rządzić rezydentom — i udało mi się doprowadzić lud do takiej nędzy i rozpacz, że nikt nie byłby im przeszkadzał w rzuceniu się w otchłań, nikt, prócz tego oto, który właśnie w stanowczej chwili umarł. Widziałeś, sam przecież widziałeś? Chłopi stanęli już jedni przeciw drugim; jeszcze sekunda, a cały plac zamienilby się w jedno ogromne pobojowisko. Kobiety i dzieci stratowanoby, towary tarzałyby się w błocie, odchodziłyby mordy i rabunki. Gdyby nie śmierć kapitana Lennarta, wszystkoby to nastąpiło. Potem wdałyby się sądy, a głód, nowe zamieszania, kwaterek wyssałyby ich do reszty. Cała okolica stałaby się tak osławioną, zohydzoną, znieawidzoną, że nikt, prócz starego Sintrama, nie chciałby w niej mieszkać. Czyż nie byłoby to wielkie dzieło?

— Ale jakież cel tego wszystkiego?

Z oczu Sintrama strzeliły błyskawice, gdy odpowiedział:

— Sprawiliby mi to rozkosz, gdyż jestem zły. Jestem niedźwiedziem gór, jestem lawiną dolin; rozrywka moją jest mord i prześladowanie. Precz, powiadam, precz z ludźmi i ich dziełem! Nie mogę ich znieść! Bawi mnie czasem widok ich skaczących spokojnie wśród moich pazurów, ale już mam dosyć tej zabawy, chciałbym ją skończyć ogólnem zniszczeniem!

Stracił widocznie zmysły. Oddawna bawił się żartem temi szatańskimi sztuczkami; teraz jednak złość opanowała go w zupełności i sam nawet zaczął wierzyć, że jest jednym z duchów otchłani piekielnej.

Gösta, który palił się do ulżenia biedakom, powziął nagle myśl olśniewającą.

— Czy wiesz, gdzie złożony jest skarb proboszcza z Broby?—zapytał znienacka.

Sintram obrzucił go szybkim, badawczym spojrzeniem i odparł:

— Coż, może miałbyś ochotę rozdać go między ubogich?

— Tak — odpowiedział Gösta; wiedział on bowiem, że z takim, jak Sintram człowiekiem, najlepiej wyjdzie, mówiąc prawdę.

Rozjaśniła się twarz Sintrama.

— No, no!—zawołał—w takim razie dam spokój temu w trumnie, gdyż znajdę lepszy sposób zemsty.

— Za co się chcesz mścić? Najlepszy przyjaciel ludu nie żyje, a nędza jest równie wielka, jak przedtem.

— Powiadam ci, wszystko przepadło! Spójrz tylko, widzisz? Dziś więzienny wóz dostał mi się zamiast ekwipażu—dużo też musiałem wylać, zanim skloniłem wójta, by poczekał na mnie, aż pomodłę się u trumny pobożnego męża.

Gösta ujrzał rzeczywiście pod cmentarnym murem karetkę więzienną.

— Chciałem tu koniecznie zajść i podziękować pani kapitanowej, że jej się chciało szukać w starych szpargałach dowodów mojej winy w znanej sprawie z prochem; zesłała mi na kark sąd, właśnie, kiedy się wybierałem na pogrzeb tego dobrego człowieka. Ale dam mu spokój, uczynię coś jeszcze lepszego! Słuchaj! Wy tam, na Ekeby, jesteście teraz w stosunkach z aniołami? Jeżeli córka proboszcza z Broby otrzyma spadek po ojcu, zapewne wszystko zechce rozdać ubogim?

— Tak, często wspominała, że użyłaby go na podniesienie Ekeby i na pomoc dla ubogich.

Sintram zaśmiał się.

— Przyznaj się, Gösto, że radbyś wiedzieć, gdzie leżą pieniądze?

— Nie taję się wcale, iż bardzo pragnę wiedzieć.

— Jeżeli mi przyrzekniesz, że wprost ztąd udasz się na miejsce w lesie, gdzie dziewczyna z Nygaardu spadła ze skały i z tej samej skały się rzuciła, to ci powiem, gdzie złożone są pieniądze. Ach, jakby to było dobrze, gdybyś umarł! Wszyscy utrzymywaliby, że straszne wyrzuty sumienia wpędziły cię do grobu.

— Przysięgłem nie odbierać sobie życia, póki Anna Liza jest w służbie u majorowej.

— To nic! — uspokoił go Sintram. — Jeżeli jej dostarczysz pieniędzy, to przestanie służyć.

W Göście zbudziła się znów tęsknota do śmierci. Dotąd nie przyszło do porozumienia między nim a tą, którą nazywał swoją żoną. Czuł się szczęśliwym, gdy mógł jej usłużyć, jak inni rezydenci; jak się jednak ułoży sprawa, gdy ona porzuci Ekeby — nie miał zgoła pojęcia. Nie wiedział, czy wróci do swoich rodziców, lub też przy nim pozostanie. Jedno tylko nie ulegało, jego zdaniem, wątpliwości: nie mógł jej wyświadczyć większej przysługi, jak zwracając jej wolność — a właśnie nadarzała się ku temu dobra sposobność. Pozbyłby się wyrzutów sumienia, mógłby urzeczywistnić pragnienie swoich najlepszych chwil: przysłużenia się Bogu i ludziom — to wszystko i dużo więcej jeszcze tkwiło w słowach: móżdż umrzeć.

Podał więc rękę Sintramowi i stanęła ugoda.

— Pieniądze ukryte są na wieży kościoła w Bro, pod deskami, w pobliżu dzwonów — powiedział Sintram. — Staraj się jednak, abyś przed wieczorem znikł ze świata, inaczej tak urządzę, że córka proboszcza sama dla siebie zatrzyma pieniądze.

Piękny dzień miał dziś Gösta Berling. Wszedł do kościoła i pełen uroczystej jakiejś radości rozmyślał nad tem, że poświęci życie, aby dopomóc biedakom.

Wszedł potem do zakrystyi i napisał obwieszczenie, że w Ekeby trzeba robotników i że tam

będą rozdzielali zboże pomiędzy najbardziej potrzebujących. Zdało mu się, że słyszy szmer podziwu i radości wpośród tłumu, któremu po nabożeństwie odczytało obwieszczenie. Napisał też parę słów do żony i doniósł jej, gdzie skarb jest ukryty. Wbrew jego woli, pióro pomknęło dalej i skreślił kilka słów pożegnania, gdyby się nie mieli nigdy więcej zobaczyć. Pisał, że musi coś uczynić, aby odpokutować śmierć dziewczyny z Nygaardu. Po wysłaniu listu dziwił się sam sobie, dlaczego to zrobił i żałował tego kroku.

Dawno już świat nie wydawał mu się tak piękny. Po nabożeństwie rozmawiał z Anną Stjaernhök i Maryanną Sinclair. Prosiły go obie, aby się okazał mężczyzną prawdziwym i nie dał się złamać. Dowiedział się przy tej sposobności, że Anna znalazła pociechę w pracy, że sama prowadzi gospodarstwo w olbrzymich swoich dobrach i przepowiadają jej, iż będzie drugą majorową.

Czuł, że obie te dumne kobiety cierpią w przeświadczeniu, iż wstydzić się muszą swojej miłości do tego mężczyzny.

— Teraz — pomyślał — ucieszą się, gdy posłyszają, że poświęciłem życie, aby biedaków wyciągnąć z nędzy, a Ekeby przywrócić do dawnej świetności.

Po nabożeństwie pochowano kapitana Lennarta. Ponieważ zmarł w dzień jarmarku, wieść o tem rozszedła się szeroko i tysiącami napływali ludzie do kościoła. Cały cmentarz, mur i pole, graniczące z kościołem, zapelnione były ludźmi. Stary pleban był słaby i nie miał wcale kazań, ale na pogrzeb

kapitana Lennarta przyrzekł przyjść. I dotrzymał słowa: z pochyloną głową, pogrążony w zadumie, jakim teraz, na starość, zawsze bywał, siedł na czele orszaku. Staruszek prowadził w swoim życiu nie jeden pogrzeb, siedł ze spuszczonei oczyma po znanej sobie doskonale drodze; przytłucił trumnę ziemią, odprawił modlitwy i nie zauważył nic szczególnego. Gdy kościelny zaintonował pieśń, zawtórowały mu setki głosów męzkich, kobiecych i dziecięcych. Wtedy zbudził się staruszek z zadumy. Przetarł oczy, jak gdyby razilo go słońce i wyszedł na kopczyk ze świeżo wykopanej ziemi, aby się rozejrzeć lepiej. Nigdy nie słyszał takiego śpiewu nad grobem, nigdy nie widział takiego orszaku żalobnego. Mężczyźni wystąpili w starych, znoszonych żalobnych kapeluszach, kobiety w białych zapaskach w szerokie faldy. Wszyscy byli w żalobie—płakali i śpiewali.

Stary pleban drżał ze wzruszenia. Odczuwał wielką radość, patrząc na te objawy miłości ludu dla zmarłego. Gdy śpiew ucichł, wyciągnął ramiona do ludu. Wyrzekł kilka słów głosem cichym i urwał. Znow zaczął mówić, ale tylko najbliżej stojący mogli dosłyszeć jego słowa. Nagle jednak nabral głos jego siły i dźwięku pod wpływem szczerzej ochoty pocieszenia tego biednego ludu.

Zaczął tedy opowiadać im wszystko, co wiedział o wysłańcu Bożym. Przypomniał im, że ani zewnętrzny blask, ani wielki majątek nie zjednały mu tego uznania, lecz jedynie to, że zawsze kroczył po drodze Bożej. Prosił ich tedy, aby dla miłości

Boga i Chrystusa to samo czynili. Każdy niechaj bliźniego swego kocha i wspomaga. Każdy niech myśli jaknajlepiej o bliźnim swoim, każdy niech tak postępuje, jak dobry kapitan Lennart; na to nie trzeba wielkich łask Bożych, jeno pobożności. Tłómaczył im, że wszystko, co zaszło tego roku, jest przygotowaniem tylko do czasów miłości i szczęścia, które ich czekają. W tych latach widywał dobroć ludzką, rozlewającą się pojedynczemi promieniami; teraz wystąpi ona, jako pełne, jasne słońce.

Wzniósłszy oczy i ręce do nieba, przepowiedział spokój, który niebawem zapanuje nad krainą.

— W imię Boże—mówił—niechaj ustanie niezgoda! Pokój niech zamieszka w sercach waszych i w przyrodzie! Oby i martwe rzeczy, zwierzęta i rośliny znalazły spokój i przestały wyrządzać szkodę!

I zdało się Góście, oraz wszystkim innym, jak gdyby słyszeli słowa proroka. Wszyscy w duchu postanowili kochać się wzajemnie i być dla siebie dobrymi. Zdało się, jakoby mąż Boży zeszedł na ziemię i zawładnął wszelkiem stworzeniem. Święty spokój opuścił się na ziemię. Zdało się, jakoby góry promieniały, jakoby doliny się uśmiechały a mgły jesienne nabrały różanego blasku.

W końcu błagał ksiądz o zbawcę dla ludu.

— Zjawi się ktoś z pomocą — mówił. — Bożą wolą nie jest, abyście teraz zmarnieli. Bóg ześle męża, który nakarmi łaknących i wskaże wam prawą drogę.

Czuł Gösta, że staruszek mówi o nim, który właśnie życie swoje dla nich sprzedał. Wielu z tych, którzy słyszeli obwieszczenie, w powrocie do domu mówiło sobie, że wszystko się teraz obróci na dobre, bo szalony proboszcz z Ekeby przyrzekł im pomoc.

Gösta tymczasem skierował się w zachodnie lasy i zniknął w ich mroku.

Było to na długo przed owym rokiem, w którym rezydenci rządili na Ekeby.

Pewien pastuszek i pewna pasterka bawili się w lesie, budowali sobie domki z płaskich kamieni, zbierali jagody, wycinali brzoźowe fujarki. Oboje urodzili się w lesie: tu była ich ojczyzna, ich państwo. Żyli w zgodzie ze wszystkim, co tu było, jak się żyje w zgodzie z czeladzią i zwierzętami domowymi.

Malcy nazywali rysie i lisy swojemi nadworonemi psami, lasica była ich kotkiem, zające i wiewiórki ich towarzyszami zabaw, niedźwiedzie i losie ich grubym zwierzem. Sowy i głuszcze siedziały w klatkach, jodły były ich służbą, a młode brzoźki gośćmi na ich przyjęciach. Znali nory, w których wydra zwinięta przesypia sen zimowy, a gdy się kąpali, w przezroczystej wodzie widzieli pływającą żmiję, ale nie bali się węzów, ani duchów leśnych, boć przecież to wszystko było częścią lasu, a ten był ich ojczyzną. Nic nie mogło ich przestraszyć.

Głęboko w lesie stała chatka, w której miesz-

kał młodzieniec. Stroma, leśna ścieżka wiodła do niej, naokół ocieniały ją góry, bezdenne bagna leżały w pobliżu, wysyłając przez cały rok swą lodowozimną mgłę. Dla mieszkańców doliny takie mieszkanie nie przedstawiałoby żadnego uroku.

Pastuszek i pasterka postanowili pobrać się, zamieszkać w chatce w lesie i żyć z pracy rąk. Zanim to jednak mogło nastąpić, wybuchnęła nieszczęsna wojna, a młodzieniec wstąpił do wojska. Wrócił bez ran i cielesnych ułomności, ale lata owe na dalszym jego życiu wryły swoje piętno. Na świecie widział za wiele złego, za wiele okrucieństwa jednych przeciw drugim, tak, że teraz nie mógł już nigdzie dojrzeć dobra.

Początkowo nie znał w nim było żadnej zmiany. Z kochanką swoich lat młodzieńczych poszedł do proboszcza i dał na zapowiedzi. Chata powyżej Ekeby stała się ich ogniskiem domowym, jak to sobie dawno uplanowali, ale szczęście nie miało zamieszkać w tym domu.

Młoda kobieta patrzyła na swojego męża jak na obcego. Od czasu, jak wrócił z wojny, nie poznawała go: śmiał się tak gorzko, a mówił tak rzadko. Bała się go.

Nic złego nie robił, był pracowity, ale nie lubiano go, gdyż każdego posądzało o złość. Sam czuł się zniechęconym cudzoziemcem; teraz zwierzęta były mu wrogami, góra, która go ocieniała, bagna, które mgłę wydzielaly—wszystko to byli jego przeciwnicy. Las jest przykrem mieszkaniem dla tego, kto się nosi z niedobremi myślami.

Kto mieszka w odludnych stronach, powinien się postarać o zapas jasnych wspomnień. Inaczej będzie widział tylko mordy i ucisk między zwierzętami i roślinami, jak to widział u ludzi. Spodziewa się złego we wszystkim, co napotka.

Jan Höck, wysłużony żołnierz, sam nie mógł pojąć, co mu jest, ale spostrzegł, że nic go nie zadawała. Dom nie uspokoił go — synowie, którzy tu się chowali, wyrosli na silnych, ale dzikich ludzi; zahartowani, odważni byli, ale dłoń ich zawsze zwracała się przeciw wszystkim, zarówno jak tych wszystkich przeciw nim.

Żona jego, zmartwiona tem, zbliżyła się do natury i zaczęła badać jej tajniki. W bagnach i gęstwiach szukała ziół uzdrawiających. Zbadała istotę świata podziemnego i wiedziała, jakich ofiar pożąda. Umiała leczyć choroby, udzielała dobrych rad przeciw trosce miłości. Miała sławę, iż posiada moc czarnoksiężką, to też unikano jej, chociaż ludziom była użyteczną.

Pewnego razu zdobyła się na odwagę i zapytała męża o powód jego smutku.

— Odkąd poszedłeś do wojska, jesteś jak urzeziony—powiedziała.—Co ci tam zrobili?

Zerwał się wtedy i omal jej nie bił — tak zawsze było, ilekroć wspomniał ktoś o wojnie. Szalał z gniewu, nie mógł znieść, aby ktoś wymówił wyraz „wojna“; wiedziano o tem, to też ludzie wystrzegali się tego przedmiotu rozmowy.

Żaden z towarzyszków broni nie mógł powiedzieć, aby popełnił więcej złego od każdego z nich,

głową. Widocznie powiedziała coś niestosownego, wszyscy wpatrzyli się w nią, jak gdyby popełniła jakąś nieprzyzwoitość. Nagle odezwała się jedna z kobiet ostrym głosem:

— Czy to hrabina z Borgu?

— Tak, to ja.

— Można by coś lepszego robić, niż gonić po lesie zwaryowanego proboszcza. Fe!

Hrabina podniosła się i pożegnała, mówiąc, że już odpoczęła należycie. Kobieta, która tak grubiańsko do niej mówiła, wyszła za nią.

— Chciałabym pani hrabinie się usprawiedliwić, że nie myślałam tak źle, jak powiedziałam. Chodziło o to, żeby cośkolwiek mówić, gdyż stary wpada w szał, gdy ktoś wspomina o wojnie. Nie miałam nic złego na myśli.

Hrabina pobięła naprzód, ale niebawem przystanąła. Ujrzała przed sobą groźny las, górę rzucającą cień, parujące bagniska. Przykro musi być mieszkać tu, gdy umysł pełen jest ponurych wspomnień. Poczula litość dla tego starca, mieszkającego tu bez towarzystwa wszelkiego, prócz bandy cyganów.

— Anno Lizo, wracajmy! — powiedziała. — Oni byli tacy życzliwi dla mnie, a ja okazałam się niedobrą. Pomówię ze staruszką o przyjemniejszych rzeczach.

I szczęśliwa, że znalazła kogoś, kto potrzebuje pociechy, wróciła napowrót do chatki.

— Lękam się, że Gösta krąży tu po lesie z myślą samobójczą — odezwała się wchodząc. — Idzie

o to, aby go odzukać i nie pozwolić mu na spełnienie czynu. Annie Lizie i mnie zdawało się kilkakrotnie, żeśmy go widziały, ale znów nam gdzieś umknął. Zapewne będzie gdzieś w pobliżu skały, z której rzuciła się dziewczyna z Nygaardu. Przyszło mi na myśl, że przecież nie muszę koniecznie wracać do Ekeby i stamtąd sprowadzać pomoc — tu jest tylu dzielnych mężów, że łatwo im przyjdzie schwytać Göstę Berlinga.

— Żywo chłopcy — zawołała kobieta, która przedtem mówiła. — Skoro pani hrabina raczy takich, jak wy, prosić o jakąś przysługę, trzeba ją spełnić zaraz.

Mężczyźni wstali i poszli szukać.

Stary Jan Høk siedział nieporuszony i mętnym wzrokiem patrzył przed siebie, taki posępny i surowy, że można się go było bać. Młodej hrabinie do głowy nic nie chciało przyjść, co mogłaby mu powiedzieć milego.

Wtem spostrzegła jakieś chore dziecko, leżące na wiązce słomy i jakąś kobietę z poranioną ręką. Natychmiast zabrała się do opatrzenia. Niebawem zawarła znajomość z gadatliwymi kobietami i kazała sobie pokazywać najmłodze dzieci.

W jakiś czas wrócili cyganie, prowadząc Göstę związanego, którego położyli przed ogniskiem. Suknie na nim były podarte i brudne, rysy zbiedzone, oczy patrzyły dziko. W ostatnich dniach żył też zupełnie jak dziki człowiek. Leżał na mokrej ziemi, wtykał ręce i twarz w muł trzęsawiska, spinał się po urwiskach i wdierał w najgęstsze haszcze. Teraz prze-

konał się, że jednak nie tak łatwo śmierć znaleźć. Raz wraz musiał walczyć z wybuchającą w nim wciąż ochotą do życia. Mimo to dobrowolnie nie przyszedł, musieli go związać przemocą.

Gdy go żona takim zobaczyła, zgniewała się. Posiada ona także pewną dumę, więc czuła się upokorzona, ujrawszy swego męża w takim stanie. Nie rozwiązała go, lecz pozostawiła tak, jak przyszedł.

— Jak ty wyglądasz! — zawołała.

— Nie miałem przecież zamiaru pokazać ci się — odparł.

— Czyż nie jestem twoją żoną? Czyż nie mam prawa spodziewać się, abys, mając zmartwienie, do mnie się zwrócił?

— Nie wiem, za co się uważasz. Nie wiem, jakie plany masz na przyszłość! Wiem tylko, że nie mogę ci wyświadczyć większej przysługi, jak umierając.

Przesłała mu niewymownie wzgardliwe spojrzenie.

— Chciałeś mnie uczynić wdową po samobójcy! Jemu twarz ściągnęła się bólem.

— Elżbieto, pomówmy z sobą sami! — prosił.

— Dlaczegożby ludzie nie mieli słyszeć? — zawołała ostrym głosem. — Alboż jesteśmy czemś lepszym od nich? Czy ktoś z nich sprawił więcej zmartwienia i zgryzoty, niż my? Oni są dziećmi lasu i gościńca, wszystko uważa się za wyższe od nich, niechajże tedy słyszą, że i na panu z Ekeby ciąży hańba i grzech, na nim, przez wszystkich ko-

chanym Gōście Berlingu. Czy myślisz, że ja się uważam za coś lepszego od nich? czy może ty się uważasz?

Z trudnością podniósł się ze swojej leżącej pozycji i spojrzął na nią z błyskiem uporu w oczach.

— Nie jestem takim nędznym, jak mniemasz.

I w gniewie swoim jął opowiadać jej o natchnieniu, jakie spadło na niego, i o spotkaniu się przed kościołem.

— Dawno byłoby już po mnie, gdybyś nie była się zjawiła w lesie — kończył. — Nie mogłem umrzeć gdy cię czułem tak blisko ciebie. Teraz puść mnie, abym mógł dotrzymać słowa!

— Ach! — westchnęła, gdy skończył — jak ja to znam dobrze! Bohaterskie frazesy, bohaterskie pozy! Zawsze gotów ręce w ogień włożyć, zawsze gotów siebie poniżyć. Jakże mi to wydawało się wielkie dawniej! Ale teraz lubię spokój i rozwagę. Gdybyś był dłoń swoją położył na trumnie dobrego męża i wobec Sintrama złożył przysięgę, iż będziesz żył, aby być pomocą biedakom, których on chciał zgubić, byłabym cię uwielbiała. Że jednak pomódz im chcesz zbrodnią, że chcesz szukać zadośćuczynienia w zbrodni — jakże chcesz, bym to uważała za piękne?

Spojrzał na nią z rozpaczą.

— Musiałem dać zadośćuczynienie — zawołał — a cóż mam własnego, prócz życia? Zapominasz, że jestem wypędzonym proboszczem, w pogardzie u ludzi, w pogardzie u Boga.

— Jak śmiesz tak mówić, Gōsto! Spotykałeś się

Po jej odejściu milczenie zaległo w chacie.

— Panie, chwała niechaj Ci będzie na wieki! — zawołał niespodzianie starzec.

Wszyscy spojrzeli na niego. On wstał i począł rozglądać się wokoło.

— Złością — wszystko było tylko złością! — mówił. — Wszystko, co widziałem od chwili, gdym oczy otworzył, było złością. Zli mężczyźni, zle kobiety, nienawiść i złość w lasach i na polach. Ale ona jest dobra. Dobry człowiek bawił w domu moim. O niej będę myślał, gdy będę samotny, na ścieżkach leśnych będę ją miał blisko siebie.

Pochylił się nad Gōstą, rozwiązał go i podniósł. Potem uroczyście podał mu rękę.

— Opuszczony przez Boga — powiedział i skinął głową. — Oto przyczyna. Ale teraz nie jesteś nim więcej i ja też już nie jestem od chwili, gdy ona w domu moim przebywała. Ona jest dobra.

Nazajutrz zjawił się stary Høk u sędziego Szarlinga.

— Chcę krzyż swój dźwigać — odezwał się. — Byłem złym człowiekiem, dlatego miałem złych synów.

I prosił, czyby nie mógł pójść do więzienia, zamiast syna. Ale to nie dało się zrobić.

Wzruszający był to widok, gdy towarzyszył swojemu synowi, krocząc obok wozu więziennego, gdy spał pod jego kuźnią i nie odstępował go do ostatniej chwili.

MAŁGORZATA CELSING.

Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem zjawiła się majorowa nad jeziorem Löb, ale dopiero w sam wieczór wigilijny dotarła do Ekeby. Przez cały czas podróży chorowała; przechodziła zapalenie płuc i miała bezustanną gorączkę, ale mimo to nie widziano jej nigdy weselszą, nigdy z ust jej nie wychodziły serdeczniejsze słowa.

Córka proboszcza z Broby, która bawiła przy niej od października, chętnie pośpieszałyby, ale nie mogła zabronić staruszce zatrzymywać konia i przywoływać do siebie każdego, kto tylko szedł tą drogą, aby powiedzieć, co zaszło nowego.

— Jakże wam idzie? — pytała majorowa.

— Dobrze! — brzmiała odpowiedź. — Nadchodzą lepsze czasy. Szalony proboszcz i jego żona [nas wspomagają.

— O, teraz zbliżają się dobre czasy — mówi inny, — Sintrama już niema. Rezydenci z Ekeby

zabrali się do pracy. Znalezione pieniądze proboszcza z Broby, Ekeby znowu się podniosło, a jeszcze się coś zostanie na chleb dla głodnych.

— Nasz stary pleban ocknął się, przybyło mu sił i życia — mówił trzeci. — Co niedzielę rozmawia z nami o królestwie niebieskiem. Ktoby też miał ochotę grzeszyć? Zaczyna się panowanie dobra.

A majorowa zwalniała coraz bardziej i pytała dalej każdego przechodnia:

— Jakże wam się teraz powodzi? Brak wam czego?

I gorączka i klócie ustawały gdy jej odpowiadano:

— Mieszkają tu dwie bogate, a dobre panie: Maryanna Sinclair i Anna Stjaernhök, które pomagają Goście Berlingowi od domu do domu chodzić i baczyć, aby nikt nie cierpiał głodu. A kociół wódki nie pochłania teraz wszystkiego ziarna.

Zdawało się, jakgdyby majorowa siedząc w sianach odprawiała modły dziękczynne za wszystko, co widziała i słyszała. Stare, pomarszczone twarze rozjaśniły się, gdy zatrzymywani przez nią opowiadali o czasach obecnych. Chorzy zapominali cierpień swoich, wysławiając dni radości.

— Wszyscy staniemy się tacy, jak kapitan Lennart — mówili. — Będziemy dobrzy, będziemy o wszystkich dobrze myśleli — nikomu nie wyrządzimy krzywdy. To przyspieszy przyjście królestwa niebieskiego.

Wszyscy byli ożywieni jednym duchem. Po dworach rozdawano żywność; kto miał jakie roboty

do wykonania, wykonywał je obecnie, a w siedmiu hutach żelaznych majorowej odbywała się robota w najlepsze. Nigdy też ona nie czuła się szczęśliwszą, jak gdy tu siedziała i chorą piersią wdychała zimne powietrze. Nie mogła przejechać obok żadnego folwarku, aby nie przystanąć i nie zapytać o powodzenie.

A zawsze otrzymywała jednobrzmiącą odpowiedź:

— Teraz wszystko dobrze! Panowała tu wielka bieda, ale panowie z Ekeby dopomogli nam. Pani majorowa się zdziwi, zobaczywszy, co oni tam zrobili! Młyn już niemal gotowy, kuźnia w najlepszym ruchu.

Widocznie bieda i wstrząsające wypadki wszystkich ich zmieniły. Majorowa czuła, że mogłaby przebaczyć rezydentom i wdzięczna była za to Bogu.

Gdy nakoniec dotarła do Ekeby i rezydenci wybiegli, aby jej pomódz wysiąść, zaledwie ją poznali, gdyż była równie łagodna i miła, jak ich młoda hrabina. Starsi, którzy ją znali dawniej, szepotali sobie na ucho:— To nie majorowa z Ekeby, lecz Małgorzata Celsing wróciła.

Radość rezydentów była wielka, gdy ją ujrzeli taką słodką, bez cienia żądzy zemsty, ale zmieniła się w smutek, gdy spostrzegli, jak ciężko jest chora. Trzeba ją było natychmiast przenieść do sypialni i położyć do łóżka. Na progu odwróciła się i powiedziała do nich:

— Boska nawałnica przeszła przez tę krainę

ale teraz dopiero widzę, że to wszystko było na dobre.

Po tych słowach zamknęły się za nią drzwi jej pokoju i już jej więcej nie zobaczyli.

Kiedy nad kimś wisi śmierć, zazwyczaj chciałoby mu się jeszcze tyle powiedzieć! Słowa cisną się na usta, gdy się wie, iż w przyległym pokoju leży ktoś, czyje ucho niebawem zamknąć się ma na wieki.

Majorowa leżała w gorączce wysokiej i głosy rezydentów nie mogły do niej dotrzeć. Czyż nigdy nie dowie się, jak pracowali, jak jej pracę podjęli i ocalili honor Ekeby? Czyż nigdy o tem się nie dowie?

Wkrótce potem zeszli rezydenci do kuźni, gdzie pracę zawieszono. Oni sami dorzucili węgla i surowiec włożyli do pieca. Nie wzywali robotników, którzy się rozeszli do domów na święta, lecz wzięli się do roboty, wdychając:

— Żeby tylko majorowa dożyła jeszcze tej chwili, gdy młot będzie w ruchu, onby u niej najlepiej przemówił za nimi!

Noc zapadła i zastała ich przy pracy. Kilku z nich przypomniało sobie, jaka to przecież dziwna rzecz, iż znów wigilię spędzają w kuźni. Wielki uczoney Kevenhüller, który prowadził budowę młyna i kuźni z Chrystyanem Bergiem, siłaczem, stali przy piecu, pilnując ognia. Gösta z Juliuszem podawali węgle. Z reszty siedzieli jedni na kowadle pod młotem, w górę podniesionym, inni znaleźli sobie miejsce na taczkach z węglami i stosach sztab żelaznych.

Lövenberg, stary mistyk, rozmawiał z wujem Eberhardem, filozofem, siedzącym na kowadle.

— Tej nocy umrze Sintram.

— Dlaczego właśnie w nocy? — zapytał Eberhard.

— Przypominasz sobie może układ, któryśmy z nim zawarli przed rokiem?

— Nie uczyniliśmy nic nierycerskiego, a zatem on przegrał zakład.

— Jeżeli wierzysz w tego rodzaju rzeczy, to przypomnij sobie, żeśmy właśnie dużo takich rzeczy popelnili, które nie były zgoła rycerskimi. Po pierwsze, nie poparliśmy majorowej wobec jej męża, powtóre zabraliśmy się do pracy, a potrzenie, przecież wcale niehonorowo postąpił Gösta, nie odbierając sobie życia jak poprzysiągł.

— Zastanawiałem się nad tem — odparł Lövenberg — ale zdaje mi się, że się mylisz. Było zakazane działać podle dla własnej korzyści, ale nie wbrew temu, co nakazuje miłość, honor lub myśl o naszym zbawieniu. Ja jestem przekonany, że Sintram przegrał. Tak, nie ulega wątpliwości. Cały wieczór słyszałem dźwięk jego dzwonek przy sankach — chociaż — nie były to wcale prawdziwe dzwoneki, ujrzymy go tu zapewne wkrótce.

I drobny człowieczek wpatrywał się w otwarte drzwi kuźni i w skrawek błękitnego nieba, z nielicznymi na niem gwiazdami. — Nagle zawołał:

— Widzisz go! Skrada się! — szeptał. — Nie widzisz go we drzwiach?

— Nie nic nie widzę — odpowiedział wuj

Eberhard, —jesteś zmęczony i ztąd coś ci się przywi-
duje.

— Widziałem go dokładnie na tle jasnego nieba. Był w swojej długiej wilczurze i w czapce futrzanej. Teraz wsunął się w cień i nie mogę go dojrzeć. Patrz, teraz jest pod piecem. Stoi tuż obok Chrystyana Berga, ale ten nie zdaje się go spostrzegać wcale. Teraz pochyła się i coś rzuca do pieca. Hu! jakże on strasznie wygląda. Strzeżcie się wy tam, w tyle!

W tejże chwili dał się słyszeć jakiś huk i iskry z pieca posypały się na kuźnię i pracujących. Nieszczęścia jednak nie było żadnego.

— Chce się zemścić! — szepnął Lövenberg.

— Ależ tyś zmysły chyba postradał! — zawołał Eberhard. — Dajże już pokój tym głupstwom!

— O czemś podobnem można myśleć i pragnąć tego, ale cóż to pomoże? Czy jeszcze go nie widzisz? stoi tam, na belce i wykrzywia się nam. Ach, jakem żyw! on młot spuszczał!

Skoczył i pociągnął z sobą Eberharda. W tejże chwili z hukiem spadł młot na kowadło. Cudem uszli śmierci Eberhard z Lövenbergiem.

— Widzisz, że nie ma władzy nad nami! — tryumfował Lövenberg. — ale zemścić chciałby się koniecznie, to widoczne.

Potem zwrócił się do Gösty Berlinga:

— Idź do kobiet, Gösto. Może i im się ukaże, a one, nienawykłe do takich widoków, łatwo mogłyby się nastraszyć. A miej się przed nim na baczności; on cię nie lubi, a może mieć do ciebie prawo

z powodu owego niedotrzymanego ślubu — kto to może wiedzieć.

Później dowiedziano się, że istotnie mistyk miał słuszność, Sintram umarł tej nocy. Niektórzy mówią, że się powiesił w więzieniu. Inni twierdzą, że stróże sprawiedliwości sami go cichaczem uprzętnęli, bo dowodów winy było za mało, a trudno było go wypuścić znów na zgubę całej ludności. Jeszcze inni utrzymują, że widzieli, jak pewien ponury pan, w czarnym powozie, zaprzężonym w czarne konie, przyjechał, aby go wydobyć z więzienia. Lövenberg nie był jedynym, któremu się ukazał tej nocy; widziano go i w Forsie, przyśnił się także i Ulryce Dillner. I później opowiadano też, że się ukazywał, póki Ulryka Dillner zwłok jego nie przeniosła do kościoła w Broby; odtąd przestano go widywać. Żona jego rozpędziła też niegodziwą służbę Sintrama i zaprowadziła w Forsie chrześcijańskie rządy. Teraz tam nie straszy wcale.

Opowiadają, że zanim Gösta dotarł do dworu, zjawił się tam jakiś nieznajomy i oddał list dla majorowej. Nikt nie znalazł posłańca; odebrano jednak list i złożono go na stole przy chorej. Wkrótce potem nastąpiło niespodziewane polepszenie, gorączka zelzała i bóle się zmniejszyły, więc mogła list przeczytać. Był to dokument pisany krwią na czarnym papierze. Rezydentcy go poznali — pisali go przeszłej Wigilijnej nocy w kuźni.

„Czytała tedy majorowa, że ponieważ jest czarownicą i dusze rezydentów wysyłała do piekła, ska-

zują ją na utratę Ekeby i te i tym podobne błazeństwa, przypatrywała się dacie i podpisom, a pod nazwiskiem Gösty znalazła następujący dopisek:

Ponieważ majorowa wyzyskała moją słabość, aby mnie odwieść od uczciwej pracy i zatrzymać jako rezydenta na Ekeby, ponieważ mnie uczyniła zabójcą Ekby Dohna, zdradzając mnie, że jestem złożonym z urzędu proboszczem, podpisuję i t. d.

Chora powoli złożyła papier i wetknęła go do koperty, potem leżała bez ruchu, rozmyślając nad tem, co przeczytała. Z boleścią zrozumiała, że takie jest o niej powszechne mniemanie. Czarownicą i guślarką była dla wszystkich tych, którym wyświadczała dobrodziejstwa, którym dawała chleb i pracę. To jej cała nagroda — to jej słała!

Co ją jednak obchodzą prostacy, tak bardzo od niej daleko stojący! Ale ci biedni rezydenci, którzy z jej łaski żyli i doskonale ją samą znali — i oni także uwierzyli, lub przynajmniej udawali, że wierzą, aby mieć powód do zagarnięcia Ekeby. Myśli błyskawicą przelatowały przez jej mózg rozgorączkowany — dziki gniew, gorąca żądza zemsty gorzały w jej oczach.

Kazała córce proboszcza z Broby, która czuwała przy niej z hrabiną Elżbietą, posłać do Högforsu po pełnomocnika i inspektora. Chciała spisać testament.

Poczem znów opadła na poduszki i dumiała. Brwi jej się ściągnęły, twarz ból wykrzywił.

— Pani jest bardzo chora, majorowo — odezwała się hrabina cichutko.

— Tak, bardziej, niż kiedykolwiek.

Znów zaległo milczenie, potem jednak rzekła znów majorowa ostrym, twardym głosem:

— Drwne to jednak pomyśleć, że i hrabina Elżbieta, tak przez wszystkich kochana, nie dochowała wiary swojemu mężowi.

Młoda kobieta drgnęła.

— Jeżeli nie w czynach, to myślami i pragnieniem, a to nie stanowi różnicy.

— Wiem o tem, pani majorowo.

— A przecież teraz jesteś szczęśliwą. Możesz tego, którego kochasz, nazywać swoim bez popełnienia grzechu — czarny upiór nie będzie stał pomiędzy wami. Możecie i w obec świata należeć do siebie. Możecie iść przez świat ręka w rękę.

— Ach, droga pani majorowo!

— Jak śmiesz przy nim przebywać?—zawołała staruszka ze wzrastającą gwałtownością.—Czyn pokutę! Póki czas, czyn pokutę! Pojedź do swojego ojca i do swojej matki, zanim oni tu przyjadą, by cię przekląć! Śmiesz Göstę Berlinga nazywać mężem swoim? Porzuć go! Ja mu daruję Ekeby, dam mu władzę i majątek—czyż odważyłabyś się wszystko to z nim dzielić? Czy miałabyś odwagę przyjąć na siebie szczęście i zaszczyty? Ja się na to zdobyłam! Pamiętasz, jak mnie się powiodło? Przypominasz sobie przeszloroczną ucztę na Ekeby? Przypominasz sobie więzienie w Munkerud?

— Ach, pani majorowo, my przecież obok siebie żyjemy, nie wiedząc, co to szczęście. Ja czuwam, aby ono u nas nie zagościło. Czy pani majorowa sądzi, że nigdy nie tęsknię do domu? Przeciwnie, bardzo pragnę znaleźć spokój i opiekę pod

dachem rodzicielskim, ale to życzenie nigdy się nie spełni. Muszę tu pozostać niepewna i drżąca, czy to, co czynię, nie prowadzi do grzechu, czy gdy jednemu pomagam, nie szkodzę jednocześnie drugiemu. Za słaba na to ciężkie życie, muszę je jednak znieść, gdyż jestem związana wieczną pokutą.

— Takimi myślami obalamucamy tylko nasze serca — zawołała majorowa—a to jest słabość. Nie chcesz go porzucać—w tem rzecz cała.

Zanim hrabina zdążyła odpowiedzieć, wszedł do pokoju Gösta Berling.

— Chodź tu bliżej, Gösto!—rzekła majorowa, a głos jej brzmiał jeszcze surowiej i ostrzej.—Chodź tu ty, którego wielbi cała okolica. Chodź tu ty, który chcesz, aby cię po śmierci nazywano zbawcą ludu. Posłuchaj, co się działo ze starą majorową, której pozwoliłeś tulać się po kraju i żebrać jałmużny i dachu nad głową.

— Najpierw muszę ci opowiedzieć, jak mi się powiodło u mojej matki, do której dotarłam tej wiosny—bo trzeba, abyś znał koniec historii.

— W marcu stanęłam w miejscu rodzinnem. Wyglądałam zupełnie jak żebraczka. Gdy przybyłam, dowiedziałam się, że matka jest w mleczarni. Poszłam tam i długo stałam u drzwi w milczeniu. Naokół ścian, na długich deskach stały lśniące, miedziane misy z mlekiem. Matka, licząca przeszło dziewięćdziesiąt lat, zdejmowała jedną miskę po drugiej i zbierała z nich śmietaną. Robiła to wcale zręcznie, ale zauważyłam, jak ciężko jej było sięgać po miski z mlekiem. Nie wiem, czy mnie dostrze-

gła, ale po chwili odezwała się do mnie dziwnie ostrym głosem:

— A więc tak ci się powiodło w życiu, jak ci życzyłam?

— Chciałam mówić, prosić ją o przebaczenie, ale na nic wszystko. Nie słyszała ani słowa, głucha była zupełnie. Po chwili powiedziała: Możesz mi pomóc. Podeszłam więc bliżej i zbierałam śmietaną. Brałam miski porządkiem, stawiałam je na swoje miejsca, czerpałam dość głęboko—słowem, zadowolona ją. Zbierania śmietany nie mogła powierzyć żadnej z dziewczek—ja wiedziałam, jak lubiła, ażeby to było zrobione.

— Tę robotę możesz objąć teraz — rzekła i to mi dowodziło, że mi przebaczyła.

— Od tej chwili nagle utraciła siły. Siedziała spokojnie całymi dniami w karle i przeważnie spała. Kilka tygodni przed Bożem Narodzeniem umarła. Byłabym wcześniej wróciła, Gösto, ale nie mogłam opuścić starej.

Majorowa umilkła na chwilę, oddech miała ciężki, ale opanowała się i ciągnęła dalej:

— Prawda, Gösto, że chciałam cię tu mieć przy sobie na Ekeby. To już tak jest, że wszyscy pragną twojego towarzystwa. Gdybyś był mógł zostać porządnym człowiekiem, byłabym ci dała władzę w rękę. Miałam nadzieję, że dostaniesz żonę dobrą. Najpierw zdawało mi się, że będzie nią Maryanna Sinclair, gdyż wiedziałam, że kochała cię jeszcze wtedy, gdyś żył w lesie. Potem sądziłam, że to będzie Ebba Dohna; pojechałam pewnego razu umyślnie do Borgu i prosiłam ją, żeby cię poślubiła,

a ja uczynię cię w takim razie swoim spadkobiercą. Jeżeli tu zawiniła, musisz mi wybaczyć.

Gösta klęczał przy łóżku z czołem przytulonym do jego krawędzi — wzdychał ciężko.

— Powiedzże mi, jak zamierzasz żyć teraz? Jakim sposobem wyżywisz żonę? Powiedz — wiesz przecież, że zawsze pragnęłam jedynie dobra twego.

A Gösta odpowiedział jej z uśmiechem, chociaż serce omal nie pękało mu z bólu.

— Swojego czasu, kiedy próbowałam pracować, darowała mi pani majorowa dom, abym miał gdzie mieszkać — posiadam go jeszcze. Tej jesieni wszystko tam urządziłem; z pomocą Lövenberga pomalowaliśmy sufit, wytapetowaliśmy ściany. Tylny pokój nazwał on buduaem hrabiny. U chłopów wyszukał mebli, które skupują po licytacyach we dworach; mamy więc już krzesła o wysokich poręczach i komódki z okuciami metalowymi. W pierwszym dużym pokoju stoją krosna mojej żony i mój warsztat tkacki. Tam też mamy sprzęty domowe i inne rzeczy. Spędziliśmy tam już niejedną wieczór z Lövenbergiem, rozmawiając o tem, jak hrabina i ja będziemy sobie żyli w tym małym domeczku. Ale moja żona dowiaduje się o tem dopiero teraz; mieliśmy jej opowiedzieć wszystko przy opuszczaniu Ekeby.

— Mów dalej, Gösto.

— Lövenberg oddawna wciąż mówił, że będziemy koniecznie musieli przyjąć jakąś dziewczynę do pomocy. W lecie jest tu ślicznie — mówił — ale w zimie będzie bardzo smutno. Musisz trzymać służącą, Gösto. Uznawałem, że ma zupełną służ-

ność, ale nie wiedziałem, z kąd wezmę na to środków. Pewnego razu patrzę, a on wlecze tam swój stół, na którym ma wymalowane klawisze. — Chyba na tem się kończy, że ty będziesz naszą służącą? — zażartowałem. Odpowiedział, że przyda nam się z pewnością — czyż chciałbyś, aby hrabina sama gotowała i nosiła wodę i drzewo?

— Nie — powiedziałem — ona nie będzie nic robiła, póki ja posiadam parę zdrowych rąk, któremi mogę pracować. On jednak upiera się przy swoim, że najlepiej się stanie, gdy będzie nas dwóch, wtedy ona będzie sobie mogła cały dzień spokojnie siedzieć i haftować. Utrzymuje on, że ja nie mam wcale pojęcia, ile usług potrzebuje takie małe kociętko.

— Mów dalej — rzekła majorowa. — To koi moje cierpienia. Sądziłeś więc, że twoja młoda hrabina będzie chciała mieszkać w nędznym domku?

Zdziwił go jej ton szyderski, ale mówił dalej:

— Ach, pani majorowo, nie śmiem przypuszczać, lecz byłoby tak pięknie, gdyby ze chciała! Ztąd jest pięć mil do najbliższego lekarza. Ona, która ma taką lekką rękę i takie serce tkliwe, znalazłaby dość zajęcia w opatrywaniu ran i leczeniu gorączki. Przypuszczałem, że wszystkie matki znalyby drogę do tej delikatnej pani z robotniczego domku. Tyle jest nędzy pomiędzy ubogimi, której ulżyć mogą dobre słowa i serdeczne współczucie!

— A ty sam, Gösto Berlingu?

— Ja będę heblował i toczył. Muszę zarabiać na życie. Jeżeli moja żona nie będzie chciała pójść ze mną, będę musiał się z tem pogodzić. Chociażby

mi teraz ofiarowano wielkie skarby świata, nie skuszają mnie, chcę żyć z własnej pracy. Chcę odtąd żyć jako biedny człowiek między chłopami i wspomagać ich, o ile to będzie w mojej mocy. Potrzeba im kogoś, kto przygrywałby im na weselach i do zabawy, kogoś, kto pisałby im listy do synów bawiących w świecie, a ja to przecież potrafię. Ale muszę być ubogim, pani majorowo.

— Będzie to dla was smutne życie!

— O nie, pani majorowo, nie będzie, jeżeli nas będzie dwoje razem. Bogaci i weseli zarówno szukać nas będą, jak ubodzy. W domku naszym będzie panowała radość. Gości nie będzie to raziło, że w ich oczach będzie się urządzało przyjęcie, lub że będą musieli jeść z jednego talerza.

— I jakąż korzyść z tego będzie, Gösto? Cóż za wielki honor?

— Dość mi będzie honoru, gdy w kilka lat po mojej śmierci ludzie o mnie jeszcze będą pamiętali. Dość pożytku bym przyniósł, gdybym przed każdym domem zasadził kilka jabłek, gdybym nauczył grajka kilku melodyj dawnych naszych mistrzów, gdyby pastuch w lesie umiał sobie zaśpiewać kilka ładnych piosenek. Niech mi pani majorowa wierzy, pozostałem tym samym szalonym Göstą Berlingiem z dawnych czasów. Chłopskim grajkiem być mogę najwyżej — ale dość mi tego. Dużo złego muszę naprawić, lecz płacze i żale nie dla mnie. Chcę biedaków rozweselać — oto pokuta moja!

— Gösto, takie życie jest za marne dla człowieka z twojemi zdolnościami — rzekła majorowa — Daruję ci Ekeby.

— Ach, pani majorowo—zawołał przerażony.— Niech mnie pan! nie wzbogaca! Niech mnie pani nie obarcza takim obowiązkiem! Niech mnie pani nie rozłącza z biednymi!

— Dam tobie i rezydentom Ekeby — powtórzyła majorowa. — Jesteś przecież bardzo dobrym człowiekiem i ludowi przynosisz błogosławieństwo. Powtórzę za matką moją: — Tę robotę możesz objąć teraz.

— Nie, pani majorowo, tego nie możemy przyjąć, my, którzyśmy tak nie umieli ocenić łaski pani majorowej i taką krzywdę jej wyrządziliśmy!

— Ale ja chcę wam dać Ekeby! Czyż nie słyszysz?

— Mówiła to głosem twardym, bez uprzejmości. Opanowała go straszna trwoga.

— Niech pani nie wystawia starców na taką próbę, znowu staliby się lekkomyślnymi biesiadnikami. Biedni rezydenci! Co się też z nimi stanie, Boże!

— Dam ci Ekeby, Gösto, ale wzamian musisz mi przysiąc, że zwrócisz wolność swojej żonie. Nie dla ciebie taka wielka dama. Za dużo cierpiała tu, w tym dzikim kraju, tęskni do swojej ojczyzny słonecznej. Pozwól jej odjechać. Za to dam ci Ekeby

Teraz ukłękła i hrabina Eżbieta u łoża majorowej.

— Już nie tęsknię więcej. On, który jest moim mężem, rozwiązał zagadkę i znalazł sposób życia dla mnie. Nie mogę być surową i twardą, nie mogę mu wciąż przypominać skruchy i pokuty.

Ubóstwo, niedola i ciężka praca już to za mnie spełnią. Do biednych i chorych mogę chodzić bez grzechu. Nie lękam się już tego życia tu na północy. Lecz niech go pani majorowa nie czyni bogatym, inaczej nie mogłabym przy nim pozostać.

Majorowa przysiadła na łóżku.

— Wszystkiego szczęścia pragniecie dla siebie! — zawołała, grożąc im zaciśniętą pięścią. — Wszystkiego szczęścia i błogosławieństwa. Nie, niech rezydenci mają Ekeby i niechaj się tem zgubią! Mąż i żona niechaj się rozłączą, aby zginęli oboje! Czarownicą i guślarką jestem i chcę was nakłonić do wszystkiego złego. Za jaką uchodziłam, taką chcę być.

To mówiąc, chwyciła list i rzuciła go w twarz Göście. Czarny papier spadł na ziemię. Gösta go poznał.

— Zgrzeszyłeś przeciw mnie, Gösto. Nie poznałeś się na tej, która ci była drugą matką. Śmiesz wahać się teraz przyjąć karę z rąk moich! Powinieneś przyjąć Ekeby, a ono stanie się zgubą twoją, gdyż jesteś słaby. Odeślij żonę do domu, abyś nie miał nikogo, ktoby cię mógł ocalić. Umrzesz z imieniem tak znieawidzonym, jak moje. O Małgorzacie Celsing po śmierci jej powiedzą, że była czarownicą, guślarką, o tobie niechaj mówią: Był marnotrawcą i katem ludzi!

Opadła na poduszki i zaległo milczenie. Wtem wśród ogólnej ciszy dał się słyszeć głuchy huk, potem drugi i trzeci — to młot w kuźni rozpoczął swoją pracę.

— Słuchaj! — zawołał Gösta. — Oto brzmi

chwala Małgorzaty Celsing. To nie figle pijanych rezydentów. To pieśń zwycięzka pracy, która brzmi na cześć starej, wiernej sojuszniczki. — Dzięki zdaje się śpiewać, dzięki za dobrą pracę, dzięki za chleb, który dałaś biednym, dzięki za drogi, które wytknęłaś, dzięki za mieszkania, które stawiałaś, dzięki za wesele, któremu otwarłaś pokoje swoje! Dzięki! spoczywaj w spokoju, dzieło twoje będzie żyło i trwało. Dom twój na zawsze pozostanie siedliskiem pracy przynoszącej szczęście! Dzięki, a nie potępiaj nas, którzyśmy zblądzili. Ty, która dążysz teraz w krainę wiecznego spokoju, myśl bez gniewu o nas, którzyśmy tu pozostali.

Gösta przestał mówić, a młot huczał dalej. Wszystkie głosy, przemawiające do majorowej z miłością i serdecznością, mieszały się z dźwiękiem młota. Powoli rysy jej złagodniały, obwisły i zdało się, jakby śmierć już rozpostarła nad nią swoje skrzydła.

Wtem cicho weszła Anna Liza, donosząc, że panowie z Högforsu przybyli. Majorowa odesłała ich... nie chciała spisać testamentu.

— Gösto Berlingu, ty mężu czynu, raz więc jeszcze zwyciężyłeś! Pochyl się, abym cię mogła pobłogosławić.

Gończka wróciła z podwojoną mocą. Zaczęła się agonizować. Ciało musiało jeszcze przenieść wielkie męki, ale dusza niebawem nic już o nich nie wiedziała. Zaczęła spoglądać w niebo, otwierające się przed tymi, którzy są skonu bliżej.

Tak upłynął jakiś czas, poczem skończyła się śmiertelna walka. I leżała taka spokojna i piękna

że wszyscy, którzy ją widzieli, czuli się wzruszeni głęboko.

— Moja droga majorowo — rzekł Gösta Berling. — Taką cię już raz widziałem. Teraz wróciła do życia Małgorzata Celsing i nie ustąpi już nigdy majorowej z Ekeby.

Gdy rezydenci wyszli z kuźni, dowiedzieli się o śmierci majorowej.

— A słyszała nasz młot? — zapytali.

Słyszała i czuła się zadowoloną.

Później usłyszeli też, że chciała im zapisać Ekeby, ale że testamentu nie sporządzono. Uważali to za wielki zaszczyt dla siebie i przez całe życie o tem pamiętali. Nikt jednak nie słyszał ich narzekających kiedykolwiek, że ich ominął tak ogromny majątek.

Opowiadają też, że Gösta Berling tej samej wigilijnej nocy, mając przy boku swoją młodą żonę, wygłosił ostatnią przemowę do rezydentów. Smucił go ich los, ponieważ wszyscy musieli obecnie opuścić Ekeby. Czekwały ich przykrości podeszłego wieku. Kto jest stary, stetryczały, ten gdziekolwiek się pokaże, przyjmują go oziębło. Biedny rezydent, zmuszony iść na mieszkanie do chłopów, pożegnać się musi z wesołymi chwilami — zdala od przyjaciół i przygód usycha w samotności.

Tak mniej więcej mówił do nich, do tych ludzi nie znających troski, których zahartowały zmienne koleje losu. Jeszcze raz nazwał ich wszystkich bogami i rycerzami, którzy zjawili się, aby wprowa-

dzieć wesele w krainę żelaza i w wiek żelazny. Żalował tylko, że ogród, w którym buja radość o motyliach skrzydłach, nawiedzony został zarazą, tak, że wszystkie jej owoce zmarniały.

Wie on dobrze, iż radość jest drogocennym skarbem dla dzieci ziemi tej i że jest niezbędna. Ale jako trudna zagadka, ciąży wciąż nad światem pytanie, jak człowiek może być dobrym i szczęśliwym *jednocześnie*. Inni tej zagadki nie rozwiązali dotąd. Mniema jednak, że znaleźli rozwiązanie obecnie, w tym roku radości i smutku, szczęścia i niedoli.



125661
~~445029~~
 /3